NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 12 lutego 1910. Nr. 7.

Tajemniczy napad bandycki w Częstochowie.

(Treść na str. 2).



Olbrzymie sprzeniewierzenie w Warszawie.

Tajemniczy napad bandycki w Częstochowie.

(Do illustracyi tytułowej).

Już 4 lata z górą mijają, odkąd w Królestwie Polskiem rozwielmożnił się system obrachunków osobistych, przy pomocy brauninga. Żadne środki nie zdołały wykorzenić tego zła i nie ma dnia, by dzienniki nie donosiły o nowych ofiarach, o nowych aktach terroru, świadczących, że w kraju tym rozprzężenie doszło do najskrajniejszych granic, skoro brat przeciw bratu chwyta za nóż i brauning.

Przed tygodniem, t. j. 3 b. m., jedna z najbardziej uczęszczanych ulic Częstochowy, a mianowicie ulica Krakowska, była widownią nowej zbrodni, której ofiarą padło dwoje młodych ludzi: 20 letnia Anna Włodarzówna i 22-letni Leon Wąsal. Scena napadu dwóch nieznajomych mężczyzn na tę parę, przechadzającą się bez przeczucia nieszczęścia po ul. Krakowskiej, rozegrała się w ciągu kilku sekund. Z pośród licznych przechodniów padło w kierunku Włodarzównej i Wąsala kilka strzałów rewolwerowych i zanim publiczność zoryentowała się, co zaszło, napastnicy już zdołali zbiedz. Jeden z przechodniów, widząc strzelających napastników, wyciągnął rewolwer i dał strzał w kierunku uciekających napastników, którzy odpowiedziawszy strzałami, szybko zniknęli z oczu wystraszonej publiczności, zostawiając na miejscu dwie dogorywające ofiary.

Zabójstwo to wywołało w mieście wielkie wrażenie. Policya, powiadomiona o wypadku, rozpoczęła natychmiast śledztwo. Wieczorem tego samego dnia aresztowano wiele ludzi, przeważnie jednak Bogu ducha winnych. Jakie tło miała ta zbrodnia, nikt nie wie, ani też nie natrafiono jeszcze na ślad zabójców.



Nowe placówki oświaty: Dziatwa ze szkoły i ochronki w Maryańskich Górach, założonej przez I. Koło T. S. L.

Reduta „Zielonego balonika“.

(Do illustracyi na str. 10).

Wśród krótkiego, tembardziej przecież ożywionego karnawału, jedną z najlepiej udanych zabaw był świetny jak zwykle „bal maskowy“, urządzony dnia 1 b. m. przez „Zielony balonik“ w cukierni Michalika, na wzór słynnych paryskich i monachijskich redut kostyumowych, gromadzących pod hasłem niewymuszonej swobody i iście szampańskiego humoru najszersze sfery artystyczne. Zabawy tak popularnego już dziś „Zielonego balonika“ w „jamie Michalikowej“, gdzie obrał on od lat 5 swą siedzibę, nie potrzebują już większej, niż mają, renomy; iluż to Krakowian wzdycha, by choć raz być obecnym na takiem kabaretowem zebraniu, ile Krakowianek złożyłoby Bóg wie jaki haracz za prawo współudziału w tej wesołej i hucznej zabawie, o której artystycznym bezsprzecznie charakterze świadczą wymownie chociażby wydawnictwa piosenek *Boy'a*, śpiewane i popularne nie tylko w Krakowie!

Niestety szczupłość lokalu nie dozwala na zbytnie rozszerzanie listy gości: 150 zaproszonych, (z których żaden nigdy z pewnością nie sprawi zawodu i stawi się na apel), zapełnia już salkę całkowicie; ilość osób większa zaprzeczałaby... najkardynalniejszym zasadom fizyki, o nieprzenikliwości ciał. W towarzystwie, doskonale zżytem, dobranem ściśle ze świata artystyczno-literackiego i sfer towarzyskich, blisko tego świata stojących, panuje ton swawolny i swobodny w najlepszem tego słowa znaczeniu, mając za podkład ciętą i trafną najczęściej satyrę, piętnującą z małej, prowizorycznej estradki bieżące wybitniejsze fakta, czy to dotyczące gospodarki miejskiej, czy też głośniejszych wydarzeń z pośród światka artystycznego.

Niejako zakończenie sezonu stanowił ów „bal“, ochrzczony szumnie: „III reduta prasy“. Ochocza i pełna życia krakowska młódź artystyczna, z malarzem Karolem Fryczem na czele, w parę chwil zmieniła przepełnioną zwykle aż do późnego wieczora cukiernię, w salę balową, kuchnię zaś i warsztat cukierniczy w bujnie kwitnący ogród przy pomocy pędzla i palety, tak by zaproszonym na 11 w nocy gościom zgotować miłą, a prawdziwie udatną pod względem malarskim niespodziankę. Surowy



Nowe placówki oświaty: Polska szkoła w Witkowicach, założona przez krakowskie I. koło T. S. L. W środku nauczyciel Br. Godziemba-Głowiński.



Dymisya bana Chorwacyi: Paweł br. Rauch.

regulamin zabawy wykluczał banalny frak i zwykłą toaletę balową; tem większa zatem atrakcya. Co pola do inwencyi, humoru i fantazyi! A nie były to kostyumy teatralne, zbanalizowane, opatrzone ze sceny; przeciwnie jeden dowcipniejszy od drugiego, budził co chwilę kaskady śmiechu, lub szczere a zasłużone całkiem oklaski: Grożąca światu kometa Halley'a przechadzała się osobiście pod rękę ze ś. p. królem Leopoldem II., Japończyk spaceruje w zupełnej zgodzie z dzikim kacapem, przepyszny typ z Tunisu, strojny w oryginalną „pyrzamę", szepce ze złotolitą wiewiórką, z za której wychyla się „rodowity" Indyanin! Tu przeciska się w tłumie najwierniejsza odbitka Cyrana de Bergerac, poprzedzając wielki obraz, chodzący na nogach roznosiciela znanej fabryki, obok zaś „żywa" porcya makaronu włoskiego z „ofiarą sportu saneczkowego", przedstawiającym obrazowo własny dolegliwy przypadek. Nie brakło wielu kostyumów stylowych, wśród których wyróżniało się kilka niezwykle dowcipnymi pomysłami. Wymieniać ich niepodobna, raz dlatego, że brak miejsca nie pozwala a powtóre, że zdradzenie *incognita* mogłoby pewnym osobom być zupełnie nie na rękę.

Nie potrzeba chyba dodawać, że tańce, którym towarzyszyła wyborna muzyka z „Secessyi" z tak popularnym w Krakowie grajkiem na czele, ciągnęły się aż do białego rana. Wschodzące słońce nie położyło kresu zabawie; wysoko już było na niebie, gdy na ulicę wysypywać się poczęły najfantastyczniejsze maski, unosząc jak najmilsze wspomnienia z niezwykłej tej artystycznej maskarady.

Fotografia nasza przedstawia część uczestników reduty w „jamie Michalikowej". Część ich już się zdemaskowała, część ukrywa dalej *incognito*, na każdej twarzy znać jednak szczerą wesołość, humor i rozbawienie.

Ustąpienie komendanta korpusu.

Na naczelnych stanowiskach w armii austryackiej zaszły w ostatnich czasach liczne zmiany, a są pogłoski, iż koniec ich jeszcze daleki, gdyż cały



Ustąpienie komendanda korpusu: Generał Artur Pino von Friedenthal, komendant X korpusu.

szereg starszych wiekiem dygnitarzy wojskowych ma przejść w stan spoczynku, miejsca ich zaś mają zająć siły młodsze.

A choć zmiany takie dotyczą przedewszystkiem



Nowe placówki oświaty: Ochronka w Witkowicach, założona przez I. koło T. S. L. W środku nauczycielka A. Krausówna.



Rozgłośna sztuka: Aktor Guitry, wykonawca tytułowej roli w sztuce Rostanda „Chantecler“ rozmawiający z jej autorem (X). W głębi grono wykonawców innych ról.

wojskowości, zdarza się czasem, iż ludność cywilna pośrednio niemi się interesuje, zwłaszcza o ile chodzi o osoby komendantów korpusów. Taki właśnie wypadek zaszedł w Przemyślu, gdzie ustąpił po pięciu latach komendant tamtejszego korpusu, generał-porucznik Artur Pino von Friedenthal.

Wspomniany generał zaskarbił sobie w czasie swej działalności w Przemyślu dużo sympatyi wśród ludności cywilnej tego miasta, dbał bowiem przez cały czas bardzo pilnie o utrzymanie harmonii między wojskowością, a mieszkańcami. Wiadomo zaś, że poprzednio, zwłaszcza za rządów generała Galgotzy'ego, stosunki te były jak najgorsze i trzeba było potem usilnych starań, by smutne zajścia, jakich z tego powodu widownią był Przemyśl, poszły w niepamięć.

Obywatelskie stanowisko generała Pino von Friedenthal zasługuje też na szczere uznanie. A także jako oficer należał ustępujący komendant korpusu do sił niepospolicie utalentowanych, to też ustąpienie jego i przejście w stan spoczynku z powodu podeszłego wieku, stanowi nie małą szkodę dla armii austryackiej.

Katastrofa kolejowa pod Londynem.

Przeglądając historyę różnych katastrof, można zauważyć ciekawy objaw. Oto na każdy rodzaj katastrof przychodzi swój czas i wówczas jakimś dziwnym i niewytłómaczonym zbiegiem okoliczności jedna katastrofa następuje po drugiej. Po jednej katastrofie okrętowej następuje szereg innych, a gdy te się skończą, telegramy przynoszą wieści o wielkich katastrofach kopalnianych i t. d. Obecnie ten, kto śledzi kronikę wypadków z całego świata, musiał zauważyć, że jakieś nieszczęście zawisło nad pociągami kolejowymi, z których żaden nie jest pewny, czy cało dopędzi do najbliższej stacyi.

Jedna z najstraszniejszych katastrof wydarzyła się tymi dniami na linii Londyn-Brighton. Katastrofa ta jest tem dziwniejszą, że nie nastąpiło tam zderzenie ale wykolejenie i rozbicie się wagonów pociągu ekspresowego, wywołane złem funkcyonowaniem automatycznych hamulców. Pociąg ekspresowy pędził z całą szybkością. Maszynista chciał zmniejszyć szybkość przy zjeździe na inny tor, tymczasem hamulec pod tylnymi wozami odmówił posłuszeństwa. Na zahamowane wozy przednie wpadły wozy tylne, pędzące dalej z dawną szybkością, powodując wykolejenie i rozbicie kilku wozów.

W jednej chwili robotnicy pospieszyli na pomoc rannym, których jęki wydobywały się z pod gruzów paru całkowicie a paru częściowo rozbitych i wywróconych wagonów.

Liczba ofiar jest niezwykle wielka, bo pociąg ten był, jak zwykle, przepełniony.



Złote gody: Andrzej Kwiatkowski, majster krawiecki w Czerniowcach, ze swą żoną Joanną i córką.



Rozgłośna sztuka: Aktorka madame Simone w oryginalnym kostyumie jako bażancica.

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

9 (Ciąg dalszy).

— Dlaczego, sam jeszcze nie wiem! Znalazłem u niego objawy szału erotycznego... najwięcej jednak zainteresowała mnie w nim utrata pamięci, udana czy też rzeczywista — najpewniej, raz udana, drugi raz istotna... Oprócz tego wszystkiego zaintrygowało mnie niezmiernie w nim to, iż nie pamiętając nic o sobie, ani o swych znajomych, doskonałe natomiast miał wiadomości o mnie, o mem życiu prywatnem, o mych skłonnościach i przyzwyczajeniach.

Słowa Williama zdumiewały mnie. Oparłem się o krzesło, na którem siedziałem i zacząłem przypatrywać się lekarzowi, by przekonać się, czy przypadkiem nie drwi on ze mnie...

Tymczasem William mówił najspokojniej dalej:

— Mogę dać ci jeszcze jedno wytłómaczenie mego lekkomyślnego postępku, a mianowicie to, iż między jego położeniem wówczas, a swojem, znalazłem pewne podobieństwo...

— Podobieństwo?

— Tak, czyż w tym czasie nie byłem i ja dotknięty tym szałem erotycznym z powodu Łucyi Weill, coś ty przypłacił utratą własnej twarzy?

— Dlaczego... mej własnej twarzy? — szepnąłem nieświadomie...

...Ach! czyżby Wiliam Duncan był również takim symulantem jak rzeźbiarz Barrabas i jego syn Polidor?... Nie! Willian był ciągle ofiarą naszego oszustwa! Mówił dalej:

— Przecież nie Joe Duncana, który mi dał swe znienawidzone nazwisko, lecz ciebie, coś dał mi życie, muszę przepraszać za swą głupią namiętność dla tego nikczemnego stworzenia, Łucyi Weill!

...Kpiłem sobie w tej chwili z Łucyi Weill! Chodziło teraz o Z... i nie chciałem, by rozmowa nasza powróciła do dawnego tematu. Teraźniejszość nie mniej była dla mnie bolesna od przeszłości.

— A tę groźbę... zabicia ciebie — zapytałem — starał się twój pacyent wykonać?

— Nie jeszcze! Jestem mimo to przekonany, iż nienawidzi mnie ze wszystkich sił!

— Naprawdę?

— Tak, jak jestem przekonany, iż za trzymanie go w klinice odczuwa dla mnie bezgraniczną wdzięczność.

— Jakże można pogodzić te dwa uczucia?

— Właśnie to wypływa z jego zboczenia, nienormalności... Ciągle ta forma przejściowa i wątpliwa!...

— Udawanie szaleństwa i prawdziwe szaleństwo?

— Tak... Mam jednak już tego dosyć!... Nic więcej ciekawego nie spostrzegam u niego!... Rzeczywiście, może mi sprawić wiele kłopotów... Pójdę jutro do jednego z mych kolegów, który uwolni mnie od niego... Nie chcę, by przestraszał mą ukochaną Ewelinę!...

Przy słowach tych Wiliam wstał od stołu, poprawił w lustrze krawat i kamelię, przyjrzał się sobie i zamierzał już odejść.

Złożyłem swą serwetkę i rzekłem obojętnie:

— Mój drogi Williamie, chciałbyś ty zrobić mi wielką przyjemność?

— Wszystko zrobię, czego tylko zapragniesz! Rozporządzaj mną a ja ci będę posłuszny!

— Dziękuję ci za twa gotowość drogie dziecko! Czy mógłbyś niewykonać swego zamiaru i zatrzymać u siebie Z...?

William zawahał się.

— Nie zrozumiałeś mnie dobrze... mówiłem o nieprzyjemnościach, jakich mogę doznać od policyi?

— Tak! tak!... Czy chcesz przez miłość dla mnie znieść te nieprzyjemności?

— Czy ten nieznajomy naprawdę cię interesuje?

— Nie interesuje mnie lecz intryguje. I gdybyś rzeczywiście usunął go ze swego zakładu, sprawiłbyś mi przykrość.

— Och! — roześmiał się William — jeżeli, drogi Brentano, zaczynasz mówić takim tonem, jeżeli chcesz zająć się doświadczeniami psychiatrycznemi, to ci oddaję tego Z...! Zgoda! Baw się nim!... Zachowaj go dla siebie!... Nie uważam go za niebezpiecznego, ale na wszelki wypadek zwracam twą uwagę! Nie ręczę za niego.

I William, pożegnawszy się ze mną, wyszedł pospiesznie.

Gdym pozostał sam w sali jadalnej, nie mogłem opanować swej radości na myśl, że wkrótce zobaczę się z Polidorem. A więc nie wymierzył on sobie sprawiedliwości, jak to utrzymywał krótkowidzący Marcadian i zupełnie ślepa policya. Polidor jak i jego ojciec zdołał zwieść wszystkich i w jakiś cudowny sposób uniknąć głupiego wymiaru kary!

Nie starając się nawet domyśleć powodu jego symulacyi, cieszyłem się tylko, iż go odnalazłem. Przypomniałem sobie jego własne słowa: „Czyż samobójstwo byłoby dostateczną karą“? A może, przyszło mi na myśl, to dobrowolne uwięzienie się w domu waryatów jest właśnie karą, jakiej sam się poddaje za morderstwo matki? Lecz jednocześnie prawie zrodziła się we mnie nowa myśl, czy on przypadkiem w tym domu zdrowia nie szukał bezpiecznej ucieczki przed pościgiem, jaki za nim urządzono?... Ja nie uwierzyłem jak William w jego szał erotyczny... Polidor był dla mnie tylko niezwykłym symulantem... Mógł udać najrozmaitsze objawy szału przed człowiekiem nauki, który ma pretensye do nieomylności, lecz nie udałoby mu się jednak oszukać swego ojca, który czynił to samo, co i on.

William Duncan wytłómaczył mi powody, dla których przyjął go do swej kliniki i w niej zatrzymał, pobudki jednak, które sprowadziły zabójcę do tego domu, pozostały dla mnie jeszcze niewyjaśnionemi. Postanowiłem natychmiast udać się do celi nr. 13 i korzystając z nieobecności lekarza, zażądać od Z... wyjaśnień, które był mi winien Polidor.

Zadzwoniłem na służącego i kazałem się zaprowadzić do trzynastej celi... Służący zawahał się...

— W nieobecności pana doktora — odpowiedział mi z szacunkiem — muszę zwrócić uwagę, iż tam może grozić niebezpieczeństwo.

— Niema żadnego niebezpieczeństwa ani dla mnie, ani dla chorego. Proszę zrobić to, co mówię i uwolnić mnie od swych uwag...

Służący skłonił się w milczeniu i zaprowadził mnie do pawilonu.

— Czy mam zostać się dla pilnowania Z...? — zapytał się dozorca.

— Nie potrzeba! Proszę nas zostawić samych!

Odkręcił guzik od przewodu elektrycznego i cela napełniła się światłem. Z... podniósł głowę z nad stołu i poznał we mnie gościa, którego widział przed obiadem.

— Ach! pan Brentano! — zawołał — Czegóż pan chce ode mnie?...

Dozorca stał ciągle na swem miejscu, obawiając się nowego napadu Z...

— Pan może odejść — rzekłem mu.

Cofnął się tyłem i zamknął za sobą drzwi.

Dla ostrożności zatrzasnąłem za nim i drugie drzwi, obite materacem, aby przypadkiem nikt z korytarza nie mógł podsłuchać naszej rozmowy.

Z... uśmiechał się bezmyślnie, kiwając w dół opuszczoną głową i zapytał znowu:

— Po co się pan tu przywlókł?

Patrząc na niego uważnie, wypowiedziałem powoli i dobitnie te słowa:

— By cię uściskać, Polidorze!

Widziałem w swojem życiu już wiele osób przejętych nagłem wzruszeniem, miałem sposobność przyglądania się zdumieniu, malującemu się na twarzach ludzi mi bliskich i obcych... Miałem przed sobą w dzień zbrodni obraz omdlonej z przestrachu Eweliny, lecz nigdy, nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się patrzeć na tak kompletne osłupienie, jakie ogarnęło Polidora przy moich słowach.

Zbladł i tak się zaczął trząść, iż nie mógł ustać na nogach, lecz opadł bez sił na łóżko. Przeraził go głos jego ojca, który jednak wychodził z ust obcego mu człowieka, o twarzy przeżartej kwasem, jakiej nigdy nie spotykał w swym domu rodzinnym. Siadłem koło niego na łóżku i rzekłem mu łagodnym głosem:

— To prawda, Polidorze, że staliśmy się dla siebie jak dwie zagadki... dwie żywe tajemnice, które wszyscy uważają za umarłe. Przyznać jednak muszę, iż mimo, że tajemnicę twą poznał twój wuj i siostra, jest ona więcej wzruszająca niż moja.

Polidor zwolna uspokajał się i tłumionym jeszcze przez wzruszenie głosem zapytał:

— Lecz dlaczego ty, ojcze, jesteś tutaj? Dlaczego, ukochany ojcze, widzę cię w tak zmienionym stanie?... Kto cię tak zeszpecił?... Powiedz!... Mów!... Wyjaśnij mi wszystko, błagam cię.

— Uspokój się mój synu... Nazywam się obecnie Jonatan Brentano i jestem obywatelem amerykańskim... a co się stało Brentanowi, nie powinno cię interesować... Również jak i ty pałam ciekawością dowiedzieć się, co się z tobą działo od chwili, gdyśmy się rozeszli... Ja cię więc pytam: „synu mój, dlaczego jesteś w domu zdrowia Williama Duncana?“

Polidor otarł drżącą ręką swe czoło z potu.

— Ach! — westchnął żałośnie — wiem o co ci chodzi. Chcesz wyrwać mi tajemnicę moją!... W tym też celu przychodził tu Marcadian z Eweliną! Jakżeście się dowiedzieli, że jestem tutaj?...

Patrzył na mnie swemi błędnemi oczyma i po chwili odezwał się:

— Już wiem teraz!... Od Łucyi dowiedzieliście się wszystkiego!... Ach! nędznica!... Gdzie ona jest?

— Łucya? Jaka Łucya?

— Łucya Weill.

Polidor mógł mi opowiedzieć o sobie wiele przerażających rzeczy i tylebym zachował zimnej krwi, iż ani drgnąłbym, lecz gdym usłyszał z ust jego nazwisko Łucyi Weill, zamordowanej przez milionera, jakieś przerażenie ogarnęło mnie.

Co za związek może być między Łucyą Weill a przebywaniem mego syna w tym domu?... Przez chwilę zdawało mi się, iż mi się to śni tylko, iż tracę przytomność... I ja podniosłem rękę do czoła i starłem z niego pot... Jakieś drżenie wstrząsało całem mem ciałem...

— Kto jest ta Łucya Weill? — zapytałem przerażony.

— Więc ty nie wiesz?... Więc naprawdę wy nie wiecie?... Dobrze, powiem ci wszystko!... Ach! ta nędznica! ach, podła!... Tak, z powodu tej Łucyi Weill zamordowałem matkę!

— Czyś oszalał, Polidorze! — zawołałem zdumiony...

— To samo mówi i ten głupiec William Duncan!... Nie, jam nie zwaryował, lecz wtedy byłem szalony...

Nagle popłynęły mu z oczu łzy i zakrywając sobie twarz rękami, zaczął łkać żałośnie.

Objąłem go czule ręką za głowę i przycisnąłem go serdecznie do swej piersi...

— Mów, moje dziecko... — zachęcałem go. — Mów, bo z mej strony niczego bać się nie potrzebujesz...

Podniósł czoło do góry i uśmiechnął się do mnie przez łzy...

— Ach! ty nie wiesz, co to znaczy tak kochać kobietę, jak ja kochałem Łucyę Weill... W romansach tylko spotyka się takie wyrażenie: „Kochać aż do zbrodni“, lecz wyrażenie to jest prawdziwe... Już od pół roku starałem się o Łucyę Weill...? Ona była bardzo znaną w Dzielnicy Łacińskiej... Znali ją wszyscy studenci... Wiadomym był jej związek z Williamem Duncanem... Wszyscy za nią przepadali!... Żebyś ty, ojcze, ją znał!... Była piękną, była nieskończenie piękną!...

Przy słowach tych na twarzy nieszczęśliwego mego syna zamalował się jakiś błysk radości, jakaś ekstaza, której nie umiał ukryć... Przerwał na chwilę, potem mówił dalej:

— Kochałem ją od wiosny, lecz daremne były me starania o nią... To dziewczyna, dla której potrzeba było mieć pieniądze!... Wiadomo było w Dzielnicy, iż oślepiony swą namiętnością, miał ją poślubić William Duncan!... I wszyscy go żałowali, a ja jeden tylko zazdrościłem mu!

Opanował go silny kaszel, po ustaniu którego mówił znowu.

— Nie znasz Łucyi Weill, mój ojcze!... Ach! gdybyś ty znał to złe i nikczemne stworzenie!... Ach! co za cyniczna dziewczyna!... Gdy pewnego wieczora prosiłem ją czule w restauracyi, odpowiedziała mi bezwstydnie: „Nie jesteś gorszy od innych... ale u mnie już taka norma... Możesz się zgodzić lub nie... Bez pięciu luidorów nic z tego!“

Teraz już nie mogłem wytrzymać, spokój mnie opuścił. Odepchnąłem jego rękę i zawołałem oburzony:

— Ach! łajdaku i dla takiej podłej dziewczyny zabiłeś swą matkę... W jakież błoto, w jakiż gnój musiała się zamienić twa dusza, iż byłeś zdolny do tego!

— Zdaje mi się, odpowiedział cicho Polidor, że w takim wypadku w człowieku jest dwóch ludzi i jeden nie odpowiada za drugiego.

Po tej uwadze jego ustało me oburzenie... Z litością spoglądałem na niego... Po chwili milczenia zapytałem go znowu:

— Lecz powiedz mi, coś potem robił?

— Potem?... potem już nic szczególnego się nie stało... Tyś mnie, ojcze, zostawił możność wyboru między samobójstwem a zniknięciem... Gdybym słuchał tylko pierwszego człowieka, który jest we mnie, dokonałbym samobójstwa, zbyt jednak byłem nikczemny, by nie iść za radą drugiego, zakochanego szalenie w Łucyi Weill!... Napisałem wiadomy ci już list do sądu, by zmylić za sobą ślady!... Pięć luidorów, któreś mi dał, zużyłem na kupno tego ubrania, swoje zaś dawne złożyłem na brzegu Marny

by udać, żem się utopił... potem zacząłem zastanawiać się, w jaki sposób uniknąć niechybnego aresztowania... Wtedy miłość dla Łucyi... ach! muszę powiedzieć, że mnie nie opuściła miłość dla tej dziewczyny!... poddała mi plan, który aż do dzisiaj wypełniałem z powodzeniem!... Przez całą noc błąkałem się po polach i dopiero nazajutrz zapukałem do drzwi Williama Duncana, udając pomieszanie zmysłów, jak gdybym rzeczywiście dotknięty był utratą pamięci. Nie mogłem przewidzieć, że zamiar mój tak mi się uda... Mówiąc prawdę, rzuciłem się na oślep w tę awanturę... William Duncan mógł mnie nie przyjąć do swej kliniki, a odesłać do komisaryatu, przez co byłbym zgubiony. Zdaje mi się, że układając swój plan, nie myślałem wcale o zabezpieczeniu siebie na wypadek niepowodzenia, lecz raczej posłuszny byłem bezwiednie jakiemuś instynktowi, który skierował mnie do domu mego rywala.

Milczałem przygnębiony tem odkryciem. Polidor przez chwil kilka siedział spokojnie, jak gdyby od poczywał, potem zapytał szeptem:

— Powiedz mi, ojcze, czy William poślubił już Łucyę?... Ona jest taka piękna, tak dyabelsko piękna!

— Synu mój, boleścią przejmuje mnie myśl, iż pomimo tych wszystkich strasznych wypadków zachowujesz jeszcze w sobie to uczucie!... Ty kochasz ciągle Łucyę Weill?

— Ciągle!

— A gdyby ci ofiarowano wolność razem z Łucyą ale zarazem i wszystkiemi niebezpieczeństwami, jakie ci grożą?

— Nie zawahałbym się i dla niej naraziłbym się chętnie na wszelkie niebezpieństwo.

— Polidorze, rzekłem poważnie, nie jesteś godzien tego, com uczynił dla ciebie... Nie myślisz o niczem innem, tylko o Łucyi... Masz racyę, w tobie jest dwóch ludzi, z których jeden nie odpowiada za drugiego... Moim jednak obowiązkiem jest zedrzeć z twych oczu wszelkie złudzenie... Znam Łucyę Weill...

— Ach! domyślałem się tego — zawołał Polidor z błyszczącemi oczami...

— Znałem Łucyę Weill... Ona właśnie oblała mnie witryolem, lecz została za to ukarana!... Łucya nie żyje już!

— Nie żyje! — krzyknął Polidor, zrywając się z łóżka...

I drżąc z nienawiści, rzucił mi w oczy tę zniewagę:

— Nędzniku!

Schwyciłem go jednak silnie za rękę i powaliłem na łóżko, mimo iż miotał z wściekłością i z pianą na ustach...

— Nieszczęśliwy! — rzekłem mu. — Więcej niż litość odczuwam teraz dla ciebie... Brak słów, by wyrazić ból, w jakim mnie pogrążasz... Stałeś się matkobójcą dla takiej dziewczyny! I to jest miłość!

I bezwiednie, mimo wyrzutów, jakie mu czyniłem, przytulałem go z czułością do siebie, jakby on był pierwszą ofiarą tego strasznego dramatu, który rozgrywał się w naszych sercach. W ustach moich mieszały się razem czułość z przekleństwami, w tem bowiem zwierzęciu, które zabiło swoją matkę, widziałem także swego nieszczęśliwego syna, widziałem owoc swej miłości dla Gabryeli, mej ukochanej żony. Trzymałem go silnie w swych objęciach, kochając go i nienawidząc jednocześnie, a on jęczał tylko:

— Nie żyje! Łucya nie żyje!

I nagle jakiś dreszcz wstrząsnął nim całym, a z oczu jego popłynęły po bladych policzkach łzy żalu; uspokoił się zwolna, a potem szepnął:

— Umarła... Mama umarła... Łucya umarła...

Wypuściłem go z mych objęć i usiadłem spokojnie koło łóżka... Przez dłuższy czas leżał bez ruchu, poczem zapytał:

— Powiedz mi, ojcze, co mam czynić, a będę ci posłuszny!...

— Synu mój — odpowiedziałem — sam sobie wyznaczyłeś karę!... Słowa twe wyrzeczone przy zwłokach matki, zaważyły nad twym losem! Nie! Samobójstwo nie byłoby odpowiednią karą! I nie bezmyślny wypadek sprowadził cię do tego domu, choć tylko wypadek może cię stąd wyprowadzić.

— Co chcesz przez to powiedzieć, mój ojcze?

— Że nigdy nie wyjdziesz już z tej celi, w której zagrzebałeś się żywcem. Przysięgam ci na to, Polidorze!

Uśmiechnął się z pewnem lekceważeniem:

— A jeżeli William Duncan zażąda czego innego?

— Ja tu będę!...

— A jeżeli ja wyznam całą prawdę Williamowi?

— Ja tu będę ciągle, powtarzam ci...

I wyjąłem z kieszeni mały rewolwer, który podsunąłem pod nos Polidorowi... Wzruszył na to ramionami.

— Za wiele się przejmujesz taką drobnostką — rzekł mi, Łucja nie żyje, to tak samo, jak gdybym ja nie żył! Cóż może teraz znaczyć dla mnie świat? Jeżeli sądzisz, że to ma być moją karą, to się mylisz.

I obróciwszy się do mnie plecami, zakrył twarz rękami i zaczął płakać po cichu...

Wstałem i wyszedłem z tej celi przygarbiony, jakgdybym niósł na sobie cały ciężar wyrzutów sumienia i bólu mego nieszczęsnego syna.



Uczynisz wszystko, co ci się podoba, nie pojadę jednak z tobą do Nowego Jorku.

X.

Weszliśmy do sali, w której Boldini wystawił portret króla papierowego... Joe Duncan opierając się poufale na mem ramieniu, wskazał mi na to płótno i rzekł z pewną naiwnością:

— Tylko to jedno interesuje mnie tutaj! Odpocznijmy chwilę, Jonatanie.

Artysta przedstawił milionera amerykańskiego jako uosobienie siły fizycznej, nadając jego wejrzeniu wyraz jakiejś ponurej zaciekłości i nieugiętego uporu.

— Wiesz, wiesz, Jonatanie, rozmawiałem o tobie z Boldinim...

— Z Boldinim?... O czem?

— O twym portrecie! I wiesz, co mi odpowiedział?

— Nie.

— Jakże pan chce, bym malował portret człowieka bez twarzy?

Poprawił swój monokl i nie zajmując się już ani Boldinim, ani jego obrazem, ani gośćmi, którzy zwiedzali wystawę, uderzył mnie po żakowsku w kolano i zmienił odrazu temat rozmowy.

— A teraz Jonatanie, zamiast zwodzić mnie w sposób niegodny takiego człowieka jak ty, który winien mi tyle wdzięczności, powiedz otwarcie, co się wczoraj stało u mego syna?

— Byli obecni Marcadian i Ewelina... Oczekiwano ciebie, lecz sprawiłeś wszystkim zawod.

— Tak... nie powtarzaj mi jednak jak wyuczona papuga tego, co ja już wiem, lecz mów o tem, czego nie wiem... Powiedz mi, dlaczego William jest dzisiaj tak zajęty, a ty przybity i zakłopotany?

— Ten stan mój mogę łatwo wytłómaczyć wczorajszą wizytą mej córki... Wzruszyło to mnie więcej, niż mogłem przypuszczać i niż mogę to wyrazić... Widok mej ukochanej córki poruszył we mnie dawne wspomnienia i uprzytomnił mi obecne straszne położenie... Musiałem bardzo panować nad sobą, by nie zdradzić się... To wszystko!

— To nie wszystko... to nie może być wszystko, ponieważ Marcadian, ten sławny adwokat, którego coraz bardziej uważam za prawdziwego gamajdę i u którego byłem dzisiaj rano, jest jeszcze więcej wzruszony niż ty i William. Nie może to być wszystko, ponieważ córka twa Ewelina nie miała sił wstać dzisiaj od doznanych wczoraj wrażeń.

— Jak? Co? — zerwałem się ze swego miejsca — Ewelina leży dzisiaj słaba?

— Bądź spokojny, Jonatanie!... Niema żadnego niebezpieczeństwa... Powiedz mi otwarcie, o ile można wierzyć słowom Marcadiana, którego zachowanie intryguje mnie... Marcadian dał mi poznać niewyraźnie i niejasno, że małżeństwo Williama z Eweliną napotka z pewnością na nieprzewidziane przeszkody... Wyznaj mi szczerze, jakie to są przeszkody?...

— Niema żadnych przeszkód! — rzekłem stanowczo.

— Twoje gwałtowne zaprzeczenie wskazuje mi właśnie, że zamierzasz usunąć te przeszkody... A przytem...

— Nic nie mogę narazie powiedzieć, — odparłem zakłopotany naleganiem tego upartego człowieka.

Roześmiał się znowu swym zwykłym śmiechem, który tak mi działał na nerwy i uderzając energicznie pięścią o poręcz ławki, na której siedzieliśmy, oznajmił mi uroczyście:

— Ponieważ nie potrzebuję się uciekać do żadnych wykrętów i bawić się w subtelności, a mam tyle szczerości, ile ty hipokryzyi, mówię ci więc otwarcie, Jonatanie, że ja, Joe Duncan, żądam stanowczo, by to małżeństwo odbyło się... odbyło się stanowczo, rozumiesz mnie?

— Nie jestem głuchy!... Możesz być przekonany, że się odbędzie. Nie na próżno jestem panem położenia!

— Zamieniasz rolemi, mój przyjacielu... Jest to zresztą nieszkodliwa próżność, której ci nie chcę odzierać!... Nie długo jednak będziesz się nią cieszył! Nie mogę cię wtajemniczać w me zamiary... Muszę cię uprzedzić o jednej tylko rzeczy... Jest bardzo możliwe, że nie doczekamy się ślubu naszych dzieci przed odjazdem do Nowego Jorku, dokąd wzywają nas interesa.

— Och! przepraszam! — zawołałem, protestując.

— Niema żadnego przepraszam — mówił prędko — ja rozkazuję!... Płacę i żądam posłuszeństwa.

Podniosłem się z ławki, na której siedziałem i stając naprzeciw tego człowieka, jakbym rzeczywiście mógł z nim walczyć, rzekłem mu spokojnie:

— Uczynisz wszystko, co ci się spodoba, nie pojadę jednak z tobą do Nowego Jorku!... Mogę na twe żądanie odgrywać niewdzięczną rolę ojca Williama, mam jednak do wykonania jeszcze inną, naturalną rolę, której ty mi nie możesz odebrać i której ja nie mogę się pozbyć, a jest nią rola ojca drogiej córki...

(Ciąg dalszy nastąpi).

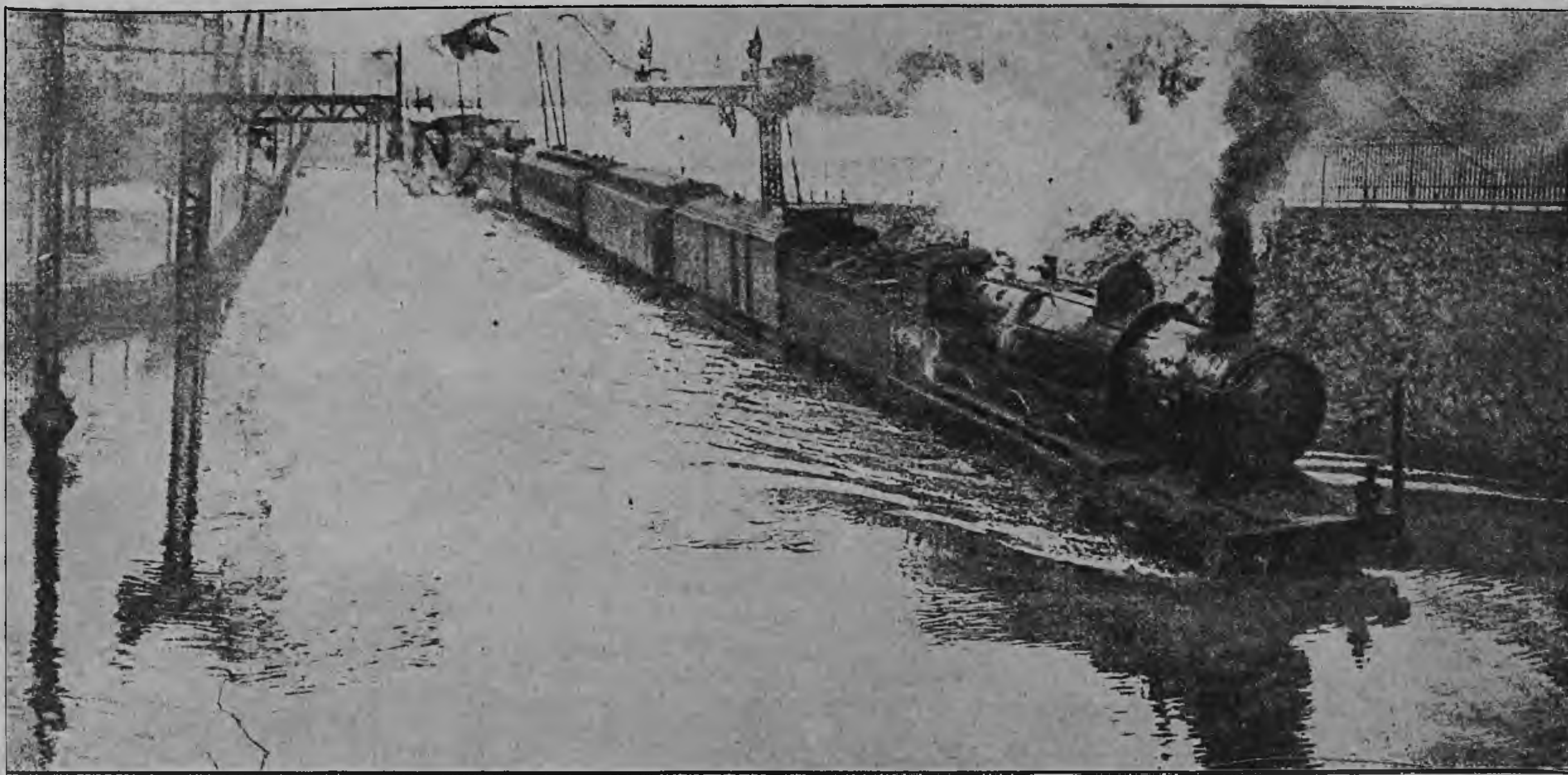
Po powodzi we Francyi.

Po kilku dniach straszliwej katastrofy, po dniach obaw i niepokoju o życie i mienie, mieszkańcy części Francyi, nawiedzonej niebywałą powodzią, odetchnęli swobodniej, woda bowiem w Sekwanie i jej dopływach poczęła opadać, a równocześnie spływać z zalanych pól, łąk, ogrodów, miast, ulic i placów.

Wesoły zawsze i nawet w najkrytyczniejszych chwilach nie tracący humoru Paryż, wnet się rozruszał, a widok schnących w szybkiem tempie ulic nastroił wszystkich niemal mieszkańców stolicy wesoło. A jednak pewne części Paryża na długi jeszcze czas zatrzymają ślady katastrofy. Są to mianowicie okolice, gdzie woda wtargnęła do kanałów i tunelów. Stamtąd bowiem trzeba będzie wodę usunąć sztucznie, co musi potrwać dłużej, a następnie ponaprawiać dotkliwe szkody i umocnić grunt, aby zapobiedz usuwaniu się ziemi.

Plac św. Trójcy, plac przed dworcem St. Lazare, wszystkie ulice, zbiegające się na placu Opery, część placu Zgody, część bulwarów, ulica Royale i połowa placu Inwalidów, oto strony Paryża, w których inżynierowie będą musieli silić swą wiedzę i doświadczenie, aby zapobiedz i skutkom powodzi i podobnym katastrofom na przyszłość.

Okolice Paryża, jakoteż inne części Francyi, gdzie rzeki wystąpiły z brzegów, przedstawiały się jeszcze do niedawna, jako całe szeregi jezior. Zwłaszcza nisko położone miejscowości ucierpiały dotkliwie, a skutki katastrofy nie prędko dadzą się usunąć.



Po powodzi we Francyi: Pociąg linii orleańskiej, poruszający się wśród fal wodnych.

I w tych stronach inżynierowie pracować będą nad sztucznem odprowadzeniem wody i nad osuszeniem gruntów.

Na razie jednak straszne chwile, jakie przeżyli mieszkańcy Paryża, należą do przeszłości i do wspomnień. Pamiątką po nich pozostały liczne zdjęcia fotograficzne, przedstawiające bądź całe fragmenty Paryża w czasie powodzi, zalane gmachy i zawalone domy, bądź też pewne sceny, charakteryzujące sytuacyę w czasie niebezpiecznych dni.

Po pożarze parlamentu tureckiego.

Był to jeden z najuroczystszych dni, gdy dnia 14 października u. r., t. j. w dniu otwarcia drugiej sesyi, parlament turecki zebrał się po raz pierwszy



Po pożarze parlamentu tureckiego: Sala tronowa w pałacu Cziragan przed pożarem.

w wspaniałej sali pałacu Cziragan. Sułtan, dziecko konstytucyi, odstąpił reprezentacyi narodowej swego państwa jeden z najwspanialszych pałaców, jaki kiedykolwiek stanął na ziemi tureckiej.

Już wówczas nie brakło gróźb ze strony fanatycznych kapłanów mahometańskich, że ta profanacya domu, w którym ongiś mieszkał sułtan, (bo za profanacyę uważano oddanie przez sułtana pałacu Cziragan parlamentowi) wywoła zemstę Allaha. Dla uspokojenia fanatycznych duchownych mahometańskich ogłosił sułtan, że oddaje pałac tylko na czasowe pomieszczenie parlamentu. Nikt nie przypuszczał jednak, że fanatycy mahometańscy posuną się aż tak daleko, by ośmielili się podłożyć ogień pod to prawdziwe cacko architektury wschodniej.

Bez obawy o swój los, przeglądał się ten „bajkowy" pałac, o fasadzie 760 m. długości, w lazurowych falach Bosforu, a olbrzymie tafle szklane, zdobiące rzeźbione okna tego pałacu, śmiały się w blaskach słońca do lasów i falistych wzgórzy wybrzeża Małej Azyi.

Pałac ten został zbudowany w tureckim stylu renesansowym w latach od 1863 do 1867 przez budowniczego armeńskiego Serkis Bei Balliana, kosztem 100 milionów franków. Twórca tego pałacu, sułtan Abdul Azis, nie długo cieszył się tem cackiem, które wybudować kazał na swe pomieszkanie. W dziewięć lat po ukończeniu budowy został zamordowany w lewem skrzydle pałacowem. Następcy jego, sułtanowi Muratowi V. nie było danem również długo rozkoszować się swą jakby doziemską siedzibą. Pałac Cziragan stał się dlań więzieniem, w którem ten nieszczęśliwy władca umarł jako obłąkany. Jeszcze w r. 1908 utrzymywało się podanie, że sułtan Murat żyje uwięziony w tym pałacu. Nawet sam budowniczy zginął w pałacu, będącym dziełem jego ręki. Ponieważ on jeden znał podziemne przejście między pałacem Cziragan a Jildizkioskiem, został wkrótce po wstąpieniu na tron Abdul Hamida przez służbę nowego sułtana w tych podziemiach uduszony. Było jakieś tragiczne piętno, które ciążyło nad tym pałacem, a jego koniec odpowiada w zupełności strasznym dziejom, których był świadkiem.

O przepychu i zbytku, panującym wewnątrz pałacu, nikt nie miał pojęcia, bo dawny sułtan Abdul Hamid nikogo do wnętrza nie wpuszczał. Gdy posłowie parlamentarni po raz pierwszy weszli do tego gmachu, byli poprostu olśnieni bogactwem i pięknością architektury, ozdobami ścian, filigranowemi mozaikami, jednem słowem wszyscy stali jak oczarowani. Zdawało im się, że znaleźli się w jakimś pałacu nadziemskim.

Dziś z pałacu tego zostały jeno gruzy i popioły. Strata, jaką ponieśli Młodoturcy przez pożar tego pałacu, jest niepowetowaną, bo prócz materyalnej ponieśli oni w oczach tłumów fanatycznych klęskę moralną za to, że nie uszanowali prawa szeriatu, zakazującego zwykłemu śmiertelnikowi przebywać w pałacu, w którym mieszkał sułtan, następca wielkiego proroka Mahometa.



Po powodzi w Paryżu: Zawalony skutkiem powodzi dom w Troyes.

Z kotła bałkańskiego.

O zawieruchach bałkańskich da się to powiedzieć, że jak za lada podmuchem wiatru na tamtejszym



Po powodzi we Francyi: Przenoszenie chorych z zagrożonego przez powódź szpitala.



Z kotła bałkańskiego: Najniebezpieczniejsi przywódcy band macedońskich: Tszertchis-bej i Demo.

horyzoncie zbierają się czarne i burzą grożące chmury, tak za jeszcze mniejszym podmuchem widnokrąg się najzupełniej oczyszcza. I tak z wielkiej chmury nie tylko małego ale wogóle żadnego deszczu nie ma.

Oto grecki poseł w Konstantynopolu Gryparis złożył Porcie w myśl instrukcyi, otrzymanych od rządu greckiego, deklaracyę, zapewniającą o przyjaznym stosunku nowego gabinetu wobec Turcyi i równocześnie zawiadomił wielkiego wezyra, że zgromadzenie narodowe, które się zbierze pod koniec b. r. w Atenach, zajmie się jedynie wewnętrzną organizacyą Grecyi a spraw zagranicznych, specyalnie zaś sprawy kreteńskiej, poruszać nie będzie.

Ale nie tylko między Grecyą a Turcyą naprężone stosunki wróciły do łożyska normalnego, ale między Bułgaryą a Portą wdrożono wstępne kroki, aby położyć kres ciągłym zatargom granicznym. Rząd turecki ze swej strony postanowił mianować zastępców, których zadaniem będzie łącznie z zastępcami rządu sofijskiego uregulować granicę bułgarsko-turecką.

Niebezpieczeństwo wojny zostało w ten sposób usunięte, trudności polityczne jednak, jakie co pewien czas powstają między poszczególnemi państwami bałkańskiemi, pozostały nadal, bo niewyjaśnione są jeszcze dwa punkty na horyzoncie bałkańskim.

Na wiosnę rozpoczynają działalność w Macedonii bandy, które rok rocznie z pierwszem słońcem wiosennem opuszczają swe leża zimowe i rozpoczynają operacye na własną rękę. Rząd turecki dokłada starań, aby położyć kres tym samowańczo występującym oddziałom powstańczym i nie cofa się przed stosowaniem wobec przywódców i członków tych band jak najsurowszych kar. Ostatnimi czasy rozstrzelano w Salonikach kilku przywódców macedońskich, pomimo to jest pewnem, że te egzekucye nie odstraszą innych przywódców, z pośród których najgłośniejsi Tschertchis-bej i Demo, już dziś budzą powszechny postrach.

Prócz niebezpieczeństwa, grożącego ze strony band macedońskich, zapowiadających na wiosnę rozpoczęcie działalności na szerszą skalę, ponownemi zawikłaniami grozi Kreta, gdzie w przyszłym miesiącu mają się odbyć wybory do kreteńskiego zgromadzenia ustawodawczego.

Należy się spodziewać, że deputowani kreteńscy pójdą za radą mocarstw opiekuńczych i zajmą pokojowe stanowisko, a rząd turecki poczyni odpowiednie przygotowania, by samowolę band jeśli nie zupełnie zgnieść, to przynajmniej do minimum ograniczyć.

Rycina nasza przedstawia obu najniebezpieczniejszych dziś przywódzców band w Macedonii.

Uroczystość wojskowa w Przemyślu.

Dnia 1 b. m. obchodził załogujący w Przemyślu 77-ty pułk piechoty, noszący nazwę pułku Księcia Filipa Wirtemberskiego, 50 lecie swego istnienia.

Uroczystość ta rozpoczęła się wczesnym rankiem nabożeństwem dla żołnierzy katolików w rzymsko-katolickim kościele, dla żołnierzy wyznania grecko katolickiego w cerkwi a dla żołnierzy wyznania mojżeszowego w synagodze. Po powrocie załogi z nabożeństw zebrali się żołnierze i oficerowie pułku na podwórzu kasarni, gdzie pułkownik Schmidt przypomniał w pięknem przemówieniu uczestnikom tej uroczystości historyę pułku. Po polsku przemówił do żołnierzy podpułkownik Gąsiecki, po rusku lekarz pułkowy Matkowski, obaj kreśląc w języku ojczystym żołnierzy dzieje pułku.

W południe odbył się w wspaniale udekorowanem kasynie wojskowem bankiet, w którym wzięła udział generalicya przemyska, oficerowie pułku oraz kapelani i miejscowy rabin postępowej synagogi.

Cesarz nadesłał na ręce pułkownika serdeczne życzenia, a obecny właściciel pułku Książę Filip Wirtembergski nadesłał w upominku kosztowny kosz srebny na owoce oraz gratulacye dla całego korpusu oficerskiego.

Wspólna fotografia zakończyła tę podniosłą uroczystość pułkową.



Fot M. Todt, Przemyśl.

Uroczystość wojskowa w Przemyślu: Oficerowie pułku i delegaci całego garnizonu na uroczystości jubileuszowej w podwórzu koszar 77-go p. p.



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Uroczystość wojskowa w Przemyślu: Korpus oficerski 77-go pułku piechoty, stacyonowanego w Przemyślu.

Ze sportu narciarskiego.

Sport narciarski jest już u nas dość znanym, choć w rzeczywistości dopiero od trzech lat możemy mówić o jego faktycznem istnieniu w Galicyi. Tak



Fot. M. Todt, Przemyśl.
Uroczystość wojskowa w Przemyślu: Przemowa pułkownika Schmidta do żołnierzy 77-go p. p.

Lwów, jak Kraków i Zakopane może się poszczycić istnieniem osobnych organizacyi i klubów, które postawiły sobie za zadanie propagandę tego sportu. Specyalne kursy, organizowane każdej zimy tak w Zakopanem jak i w okolicach Lwowa i Krakowa, umożliwiają najszerszej publiczności wyuczenie się jazdy na nartach, przy pomocy których nie sprawia trudności nawet pokonanie takich partyi górskich, o jakich zrobieniu dawniej nawet marzyć zimą nie było można.

Aczkolwiek narciarze nasi zdołali porobić już znaczne postępy i mogą się poszczycić znaczną ilością dobrze wyszkolonych i wprawnych narciarzy, mimo to sport ten, w porównaniu z rozwojem tego sportu za granicą, jest u nas jeszcze w pieluchach.

Za granicą, szczególnie w krajach alpejskich istnieją takie centra sportów zimowych jak Davos, St. Moritz, gdzie przez całą zimę odbywają się stałe kursy jazdy na nartach, ściągające liczną i doborową publiczność z całego świata.

Jedną z najtrudniejszych rzeczy przy nauce jazdy na nartach jest nauczenie się skoków. Specyalne wały do skoków, zbudowane w tych centrach sportowych, będących zarazem siedzibami wielu klubów i towarzystw narciarskich, umożliwiają mistrzom w jeździe na nartach wykonywanie skoków, dochodzących do 40 m. długości. Gdy nieraz się czyta, że narciarz w rozpędzie przesadza bez trudności na swych nartach chatę góralską lub szałas, stojący mu na przeszkodzie, niejeden wstrząsa niedowierzająco głową, jeśli wprost nie zaprzecza możliwości takiego skoku.

Jeden z mistrzów w jeździe na nartach, Capito, wykonał przed tygodniem w St. Moritz, na zawodach narciarskich, skok długości 38 m., który wzbudził powszechną sensacyę w świecie sportowym.

Fotografia nasza przedstawia właśnie mistrza Capito w skoku.

Złote gody.

W dzisiejszych, tak ciężkich czasach, przeżyć pół wieku w jarzmie małżeńskiem, to rzecz zaprawdę niezwykła i bardzo rzadka, a nie wiadomo, czy zazdrości godna. A jednak zdarzają się takie bohaterskie pary małżeńskie. Jedna z nich święciła niedawno złote gody w Czerniowcach, a mianowicie majster krawiecki Andrzej Kwiatkowski i jego żona, Joanna.

Sympatyczni ci staruszkowie mogliby dużo interesujących historyi opowiedzieć, bo w ciągu tak długiego, choć szczęśliwego pożycia, zaznali z pewnością doli rozmaitej. Pożycie ich było wyjątkowo wzorowe, gdyż oboje mieli za dewizę życia wierność i rzetelność. Dzięki temu też i dzięki nadzwyczajnemu umiarkowaniu, do tak sędziwego wieku zachowali czerstwość fizyczną i umysłową, co pozwala przypuszczać, że w miłości i szczęściu doczekają jeszcze godów brylantowych.



Reduta „Zielonego Balonika“: Uczestnicy reduty w swych kostyumach w „jamie“ Michalikowej.

A. K. GREEN.

KTO MORDERCĄ?

7

— Śmią mnie oskarżać? mnie? — zawołała. — Mnie, która byłam gotowa poświęcić swe życie, by tylko go ocalić. To nie hańba, to ostry nóż, który mi wbili w serce.

Byłem bardzo wzruszony, postanowiłem jednak stanowczo nie okazywać jej swego współczucia, dopóki nie przekonam się zupełnie pewnie o jej niewinności.

— Panią to bardzo dotknęło, miss Eleonoro — rzekłem jej — lecz czyż pani nie zdawała sobie sprawy z tego, jak będą tłómaczyli milczenie pani o znalezionym kluczu? Czyż pani naprawdę sądziła, odmawiając wszelkich wyjaśnień, że publika — nie mówię już o policyi — nie posunie się do dalszych przypuszczeń?

— Lecz...

— Gdy pani zaprzeczała temu, jakoby trzymała w ręku papier przy wyjściu z biblioteki, gdy pani nie chciała wyjaśnić Grysowi, w jaki sposób znalazł się u pani klucz...

Cofnęła się w tył; słowa moje widocznie ją przestraszyły.

— Czyż pani naprawdę przypuszcza, że można ukryć przed publicznością to, o czem wiedzą agenci?

Nic nie odpowiadała.

— Miss Eleonoro — rzekłem — zdaje mi się, iż pani nie rozumie, w jakiem położeniu się znajduje. Jeżeli pani rozważy bezstronnie całą sprawę, dojdzie do tego przekonania, iż należy wyjaśnić...

— Ja nic nie mogę wyjaśnić — wyszeptała słabym głosem.

— Nie może pani?

Nie wiem, czy wpłynął na nią ton mego głosu, czy podziałały tak me słowa, lecz cofnęła się znowu, jakby ją kto uderzył w twarz.

— Co? — zawołała — pan także wątpi o mnie? Myślałam, do głowy mi nie mogło przyjść, żebym ja... — wstrząsła się cała — więc i pan nie wierzył mi także od samego początku, więc dosyć było panu tych mniemanych dowodów przeciw mnie, by uwierzyć w mą winę? — Opadła bezsilnie na fotel i rzekła ledwie dosłyszalnym głosem: — Teraz jestem już sama, opuszczona przez wszystkich.

Wzruszyło to mnie bezwiednie. Podszedłem ku niej i odezwałem się:

— Miss Lavenfort, przecież i ja tylko człowiekiem jestem. Lecz nie mogę patrzeć na pani rozpacz, niech mi pani powie, że jest niewinna, a uwierzę pani bez względu na wszelkie dowody.

Wstała i zwróciła się do mnie.

— Czy może ktokolwiek powiedzieć, patrząc mi w oczy, że ja jestem sprawczynią tego strasznego morderstwa?

Gdy kiwnąłem smutnie głową, dodała.

— Ach, więc pan chce dowodów? — przy słowach tych rzuciła się ku drzwiom.—Niech pan idzie za mną.

Poszedłem za nią, drżąc cały z obawy i wzruszenia. Szybko pobiegła po schodach i gdym dopędził ją, stała już przy drzwiach pokoju, w którym leżał jej stryj.

— Wejdźmy — rzekła i otworzyła drzwi.

Bardzo byłem zdziwiony tem wszystkiem, mimo to szedłem za nią. W pokoju nie było lampy, światło jednak dochodziło z korytarza. Eleonora uklękła i nachylając się nad zwłokami zmarłego, położyła mu ma piersi swą rękę.

— Powiedział pan, że uwierzy mi, jeżeli powiem, żem niewinna — rzekła — niech pan patrzy.

Przyłożyła twarz do umarłego, pocałowała go w usta, potem powstawszy, odezwała się:

— Czy przypuszcza pan, że mogłabym to uczynić, gdybym go zabiła? Jeżeliby krew jego ciążyła na mnie, czyż mogłabym podejść do niego z taką czułością? Twierdzono dawniej, iż z rany trupa zaczynała płynąć krew, jeżeli zbliżał się do niego zabójca — mówiła dalej — cóż teraz winnoby się stać, gdybym ja w istocie podniosła na niego rękę?

Tak byłem przejęty tą sceną, iż nic nie mogłem mówić.

— Niech usłyszy mnie Bóg wszędzieobecny, wszystkowiedzący. Jeżeli choć myślą, choć słowem jestem winna jego śmierci, niech on mnie ukarze wobec ludzi.

Nachyliłem się ku niej i wziąłem ją za rękę.

— Więc teraz wierzy mi pan? Nie wątpi pan o mej niewinności? — zapytała, a uśmiech ukazujący się na jej twarzy dowodził, jak wielką to jej radość sprawiało. — Teraz niech zaczyna się walka na życie i śmierć, przyjmuję wyzwanie, gdyż znalazł się choć jeden człowiek, który wierzy mi mimo świadczących przeciw mnie poszlak.

Gdyśmy zeszli z powrotem do salonu, zastaliśmy tam ku swemu zdziwieniu Mary Lavenfort. Okryta płaszczem stała pośrodku pokoju i czekała na nas. Rozumiejąc dobrze, jak ciężkiem jest dla nich to spotkanie, zamierzałem już odejść, lecz w miss Mary było coś takiego, co mi nakazało zmienić swe postanowienie. Podszedłem do niej i rzekłem:

— Pani kuzynce udało się to, czego pani tak bardzo pragnęła — przekonała mnie o swej niewinności. Teraz jestem gotów dołożyć wszelkich starań, aby znaleść z pomocą Grysa prawdziwego sprawcę śmierci pani stryja.

— Zawsze byłam przekonaną o tem, że dosyć jest spojrzeć w oczy Eleonory, by przekonać się o jej niewinności — odpowiedziała Mary, patrząc mi prosto w twarz.

Uczułem, jak krew rzuca mi się do głowy i chciałem już jej odpowiedzieć na to, lecz zanim zdążyłem odezwać się, ona mówiła dalej zimnym tonem:

— Wogóle stan, w którym człowiek widzi się oskarżonym lub choćby podejrzewanym o straszne przestępstwo, jest bardzo ciężki, prawie nie do zniesienia dla każdego, a tembardziej dla młodej panny, żyjącej w beztrosce i otoczonej troskliwością bliskich sobie ludzi. Kuzynka moja może być przekonana, że z nią bardzo współczuję.

Przy słowach tych zdjęła płaszcz i po raz pierwszy dopiero spojrzała na swą stryjeczną siostrę. Eleonora zrobiła krok naprzód; wydało mi się, że w chwili tej dzieje się coś bardzo ważnego, co ma ogromne znaczenie dla obu panien, czego jednak nie mogłem domyśleć się.

Eleonora pierwsza opanowała się i cofając się znowu w tył, rzekła spokojnie:

— Nie potrzebuję współczucia, a wymagam tylko sprawiedliwości.

Powiedziawszyszy to, odwróciła się plecami do Mary i dodała:

— Chodźmy do drugiego pokoju, panie Rymond, tam porozmawiamy jeszcze.

Mary jednak szybko podeszła do niej i biorąc ją za rękę, przytrzymała ją:

— Nie, przedtem musimy rozmówić się z sobą, Eleonoro, ja ciebie bez tego nie puszczę.

Spojrzałem na Eleonorę i przekonawszy się, że jestem zbyteczny tu, szybko wyszedłem z pokoju. Przez dziesięć minut chodziłem w głębokiej zadumie po salonie. W domu tym była jakaś tajemnica. Lecz jaka? Co wywołało nieprzyjaźń między kuzynkami, które chowały się razem i winny się kochać?

Naraz usłyszałem jak otworzyły się sąsiednie drzwi i słowa Mary:

— Po tem, co zaszło obecnie między nami, nie możemy już zostawać pod jednym dachem, jedna z nas musi opuścić ten dom.

Zaczerwieniona i wzburzona wyszła na korytarz i postąpiła kilka kroków ku mnie, lecz gdy tylko mnie zobaczyła, cały jej gniew znikł odrazu, zalała się naraz łzami i zbiegła szybko po schodach na dół. Jeszcze nie zdążyłem zdać sobie sprawy z wrażenia, jakie na mnie wywarło jej dziwne zachowanie się, gdy do pokoju weszła miss Eleonora. Widocznie się już uspokoiła, twarz jednak jej była bardzo zmęczona i blada. Zauważyłem, że po naszej poprzedniej rozmowie, gdy się przekonała, że znalazł się choć jeden człowiek, który jej wierzy, ona jakby wzrosła na duchu i przygotowała się do spokojnego znoszenia ciosów losu i walki o życie, która musiała się zakończyć jej zwycięstwem. W chwili tej podobna była do królowej, podającej dłonie swe do zakucia w kajdany, ustępującej wobec przemocy, lecz nie przestającej czuć się królową.

— Niech mi pan wytłómaczy, co dzieje się dokoła mnie — rzekła — rzeczywiście wydaje mi się teraz, że nie zupełnie rozumiem położenie, w jakiem się teraz znalazłam.

Zadowolony byłem z tego jej wezwania i zacząłem przedstawiać szczegółowo całą sprawę, zatrzymując się na tych punktach, które jej wydawały się zupełnie jasnymi, lecz które w innych budziły niewiarę i podejrzenie. Wykazałem, jaki zły wpływ wywarło milczenie jej o niektórych faktach i prosiłem ją, by choć mnie wyjawiła to, co ukrywała przed innymi.

— A ja sądziłam, że pan zadowoli się tem, co już powiedziałam — rzekła, drżąc na całem ciele.

— Tak, ja pani wierzę, ale chcę, by i inni mogli pani wierzyć — odpowiedziałem.

— Wątpię, czy to się kiedy stanie — odparła smutnie — imię moje skalane na zawsze.

— I pani raczej pogodzi się z tem, niż powie choć słowo?

— Nie wiem, czy słowo moje może pomódz co w tej sprawie.

Mimowoli obróciłem się; przypomniał mi się Fobbs, który urządził sobie naprzeciwko punkt obserwacyjny.

— Jeżeli sprawa moja istotnie tak źle stoi, jak pan mówi — ciągnęła dalej — to nie zdaje mi się, by pan Grys uwierzył mym słowom.

— Wiem, że dla Grysa jest bardzo ważnym szczegół, w jaki sposób klucz znalazł się u pani, gdy to będzie wiedział, wtedy dopiero będzie mógł wpaść na prawdziwy ślad.

Nic nie odpowiedziała i znowu zrobiło mi się ciężko na duszy.

— Powinna była pani dać mu jakiekolwiek wyjaśnienie — tłómaczyłem — choćby nawet przyniosła pani szkodę tej osobie, którą chce obronić przed podejrzeniami.

Wstała z silnymi rumieńcami na twarzy.

— Żeby nie wiem co się stało, nigdy nie powiem, w jaki sposób ten klucz znalazł się u mnie. Nawet żeby wszyscy najbliżsi moi prosili mnie na klęczkach — nie powiem!

Po słowach tych znowu opadła na fotel.

— Miss Lavenfort — odpowiedziałem — pani postanowienie, by za cenę własnej reputacyi okupić spokój innej osoby, jest bardzo szlachetne, lecz ani przyjaciele pani, ani nikt inny, kto ceni prawdę i sprawiedliwość, nie przyjmie od pani podobnej ofiary. Mimo to, że pani nie chce nam nic powiedzieć, my będziemy jednak działali i szukali nawet bez pani pomocy. Już ten sam fakt, że pani jest adoptowaną córką najlepszego przyjaciela pana Beleya, zmusiłby mnie do dołożenia wszelkich starań, by zmyć plamę z pani imienia. Teraz, po tej scenie przy zwłokach nieboszczyka, której byłem świadkiem, nie wart byłbym nazwy porządnego człowieka, gdybym nie bronił pani czci.

— Co pan chce zrobić? — zapytała po długiej, męczącej przerwie.

— Chcę znaleść winowajcę i oddać go w ręce sprawiedliwości, by uwolnić panią od podejrzeń.

— Wątpię, czy to się panu uda: przecież w tym wypadku ma pan do czynienia z zabójcą, którego nikt nie zna.

— Ktoś go zna — odpowiedziałem z naciskiem.

— Kto?

— Dżen, która uciekła z tego domu, musi znać tę tajemnicę. Gdy znajdziemy ją, wymieni ona z pewnością nazwisko zabójcy.

— Jest to tylko domysł z pańskiej strony — odpowiedziała.

Zauważyłem jednak, że strzała, jaką wypuściłem, trafiła do celu.

— Nie, ona nie może mi pomódz — dodała ze smutkiem.

— Więc nikt, ani nic nie może pani pomódz? — zapytałem.

Odwróciła się ode mnie w milczeniu.

— Miss Lavenfort — rzekłem jej — pani nie ma ani matki, ani brata, który mógłby zaopiekować się panią i przyjść z pomocą. Niech pani pozwoli mnie choć w części zastąpić ich i odpowie mi na jedno pytanie.

— Czego pan chce się dowiedzieć?

— Czy rzeczywiście wzięła pani wtedy ze stołu jaki papier?

Milczała i jakby zastanawiała się nad pytaniem i odpowiedzią. Wreszcie zwróciła się do mnie i rzekła.

— Odpowiem, lecz tylko panu, panie Rymond: tak, wzięłam papier.

— Nie pytam się pani o jego treść — mówiłem dalej — lecz niech pani pozwoli zadać sobie jeszcze jedno pytanie; papier ten istnieje jeszcze?

Spojrzała mi prosto w twarz i odrzekła:

— Nie.

Z trudem zdołałem ukryć swój zawód.

— Miss Lavenfort, naleganie moje może wydać się okrutnem, lecz niebezpieczeństwo, grożące pani jest tak wielkie, iż ośmielam się zadać pani jeszcze jedno pytanie: Czy może pani powiedzieć, jakiego rodzaju był ten szmer, który pani słyszała, siedząc u siebie w pokoju po wyjściu z biblioteki pana Hervela a przed zamknięciem drzwi?

Widocznie zaszedłem za daleko w swej gorliwości, bo zaraz dała mi to poznać.

— By okazać panu, jak bardzo cenię pańską troskliwość o siebie, odpowiedziałam na kilka pytań; niech pan tem się zadowolni i porzuci już ten temat.

XIII.

U Grysa.

Nie wątpiłem teraz o tem, że osoba, dla której miss Eleonora poświęca siebie, musi być jej bardzo droga. Tylko wielka miłość lub wysokie poczucie obowiązku mogło ją skłonić do uczynienia ofiary z siebie. I mimowoli przypominał mi się, choć gniewało mnie to, sekretarz, którego dziwne zachowanie zwróciło od pierwszej chwili moją uwagę. Nie mogę powiedzieć, aby miss Eleonora lub on sam dał jakie powody do podobnych przypuszczeń, jeżeli jednak zgodzę się, że w sprawie tej odgrywała pewną rolę miłość, to wszystko zacznie się przedstawiać w odmiennem świetle. Skromny sekretarz Hervel był jednostką, nie posiadającą żadnego znaczenia, lecz James Hervel, pałający miłością do tak pięknej panny, jak Eleonora — było to już zupełnie co innego. Jeżeli więc przyłączyłem go do listy osób podejrzanych, to miałem w takim razie obecnie pewne podstawy do tego.

Między podejrzeniem jednak a pewnością istnieje cała przepaść. Podejrzewać Hervela a znaleść dowody jego winy — są to rzeczy wręcz odmienne. Podobne zadanie przestraszało mnie od samego początku, tem bardziej, iż nie byłem pewny, czy moje podejrzenie nie wynikło z pobudek czysto osobistych i nie zostało wywołane pewnego rodzaju zazdrością. Jeżelibym nie czuł do niego tej niechęci, nie wydawałby mi się on tak podejrzanym. Przedewszystkiem jednak należało myśleć o ocaleniu Eleonory. Aresztowanie jej rzuciłoby cień na jej dobrą sławę i to haniebne piętno nie dałoby się zmyć już nigdy z jej imienia. Postanowiłem wobec tego zobaczyć się z Grysem i poradzić się go.

Na drugi dzień rano udałem się do niego, przygotowawszy się zawczasu do wszelkiego rodzaju niespodzianek. Najwięcej obawiałem się tego, by on nie zrobił stanowczego kroku przedtem, zanim się z nim rozmówię. Uspokoiło mnie po części to, że na dzień ten był naznaczony pogrzeb nieboszczyka. O ile znałem Grysa, nie sądziłem, by mógł on wydać jakie rozporządzenie przed skończeniem tej smutnej ceremonii.

Wkrótce znalazłem się przed mieszkaniem ajenta i zadzwoniłem do drzwi. Otworzył mi jakiś rudawy, blady chłopiec, który na pytanie me, czy jest pan Grys w domu, mruknął coś niewyraźnie pod nosem, co mogło znaczyć tak dobrze, że jest, jak i że nie ma go.

— Nazywam się Rymond i chcę widzieć się z panem Grysem.

Popatrzył na mnie uroczyście, jak gdyby chciał zapamiętać rysy mej twarzy i wskazał głową na schody. Nie czekając na dalsze wyjaśnienia, poszedłem na górę i zapukałem do nowych drzwi. Gdy wszedłem do pokoju, ujrzałem szerokie plecy Grysa, pochylone nad biurkiem.

— Ach, to pan — odezwał się ku mnie — czemu mogę zawdzięczać ten zaszczyt, że widzę pana u siebie?

Przy słowach tych wstał i zamknął drzwiczki wielkiego pieca?

— Zimno dziś i wilgotno.

— Rzeczywiście — odpowiedziałem i bacznie przyjrzałem mu się, by przekonać się, w jakiem jest usposobieniu. — Nie mam jednak czasu na rozmowę o pogodzie. Zabójstwo...

— Istotnie, to jest zagadkowy wypadek — potwierdził, patrząc na piec — lecz może dla pana jest on zupełnie jasny? Czy dowiedział się pan czego nowego?

— Owszem, lecz wątpię, czy to, co ja wiem, odpowie pańskim oczekiwaniom — odparłem, podchodząc ku niemu bliżej. — Od czasu, gdy widziałem pana po raz ostatni, jedno z moich przypuszczeń przeszło w zupełną pewność: pan podejrzewa niewinną osobę.

— Jakież przyjemne odkrycie! Muszę panu podziękować za nie.

Stłumiwszy w sobie gniew, jaki we mnie wzbudził, mówiłem dalej.

— Tak bardzo jestem przekonany o tem, że przyszedłem prosić pana o przerwanie śledztwa w tym kierunku, a skierowanie go w zupełnie inny.

Nie wydawał się zaintrygowanym memi słowami, gdyż rzekł obojętnie:

— Tak? Dziwnem jest pańskie żądanie!

— Panie Grys — tłómaczyłem mu dalej, nie zważając na jego ironię — miss Eleonora jest tak szlachetną i uczciwą, iż my nie mamy prawa rzucać najmniejszego cienia na jej dobre imię. Jeżeli pan zechce wysłuchać mnie, daję panu słowo, że nie będzie pan tego żałował.

Uśmiechnął się i odrzekł:

— Dobrze, niech pan mówi, słucham pana.

Wyjąłem mój notes z różnemi notatkami i położyłem go przed nim.

— Co? notatki? jest to wielka nieostrożność z pańskiej strony: nie można swych uwag i spostrzeżeń powierzać papierom.

Nie zwróciłem na słowa jego żadnej uwagi, lecz zacząłem odrazu:

— Udało mi się poznać bliżej miss Eleonorę i widzieć ją taką, jakiej pan jej nigdy nie zobaczy;



Ach, to pan — odezwał się, zwracając się ku mnie.

dała mi tak jasne dowody swej niewinności, iż nie pozostawiły one we mnie najmniejszych wątpliwości. Bardzo jest możliwe, że ona wie coś o tem zabójstwie; nie mogę temu zaprzeczać, gdyż w każdym razie znaleziono u niej klucz. Lecz czy można podejrzewać ją o taki występek tylko dlatego, iż z poczucia obowiązku nie mówi wszystkiego, co wie? Przecież my i bez jej pomocy możemy wykryć prawdę, chodzi tylko o zdwojenie swej przenikliwości i popracowanie umysłem.

— Tak, lecz my do niczego nie dojdziemy, jeżeli nie pójdziemy po jednym śladzie, na jaki dotychczas natrafiliśmy — odpowiedział mi obojętnie Grys.

— Niczego się pan nigdy nie dowie, jeżeli się pan będzie trzymał tego tylko śladu, na jaki naprowadziły pana sprzeczności w zeznaniach miss Eleonory.

Zmarszczył brwi, lecz nic nie odparł.

— Miss Eleonora znajduje się pod wpływem człowieka, który doskonale zna jej dobre serce, jej wytrwałość, a może i miłość. Postarajmy się znaleść tego człowieka, a w swych rękach będziemy mieli tego, kogo szukamy.

— Tak pan sądzi! — odezwał się Grys i zamilkł zaraz.

Postanowiłem jednak za wszelką cenę zmusić go do mówienia i dlatego czekałem w milczeniu.

— Czy podejrzewa pan kogo? — zapytał jakby mimochodem.

— Nie wymieniam nazwisk, a proszę tylko nie spieszyć się z działaniem.

— Więc pan prosi o osobisty dla siebie wzgląd?

— Tak, jeżeli pan chce tego.

— Czy pan chce sam prowadzić tę sprawę, czy też nie odrzuci pan pomocy doświadczonego człowieka?

— Chciałbym tylko jednego, aby tym człowiekiem był pan.

Uśmiechnął się ironicznie.

— Pan zdaje się być przekonanym o słuszności swej sprawy?

— Jestem najzupełniej pewny siebie co do miss Eleonory.

Widocznem było, iż odpowiedź ta podobała mu się.

— Niech mi pan powie, co pan zamierza naprzód uczynić? — zapytał.

Milczałem, gdyż narazie nie ułożyłem sobie jeszcze planu swego postępowania.

— Zdaje mi się, że pan jako dyletant wziął na siebie zbyt ciężki obowiązek. Lepiej byłoby, gdyby pan całą sprawę pozostawił mnie.

— Chciałbym jednak...

— O, ja nie wyrzekam się pańskiej pomocy — dodał — nie choruję na zbytek zarozumiałości i chętnie słucham cudzego zdania. Jeżeliby naprzykład zdecydował się pan opowiedzieć mi, co pan widział i słyszał w ostatnich dniach, byłbym panu bardzo wdzięczny.

Ucieszyło mnie to, że wreszcie poddał się i zamierzałem już mówić mu wszystko, spostrzegłem jednak, że ja w istocie nie mam żadnych faktów.

— Dobrze — odparłem niepewnie — lecz wszystko, co ja wiem, oparte jest raczej na osobistych wrażeniach niż na faktach i wskutek tego ja mogę wyrazić panu tylko swe zdanie o tym lub innym szczególe. Sądzę że gdybym znał lepiej historyę tej rodziny, łatwiej mógłbym uporządkować swe wrażenia.

— W takim razie pan nic nie wie o rodzinnem życiu starego Lavenforta?

— Nie, nic.

— Nie wie pan nawet, czy te panny miały jakich wielbicieli i pretendentów do swej ręki?

— Nie mam o tem najmniejszego pojęcia.

Zamilkł na chwilę, potem rzekł:

— Czy też pan wie, panie Rymond, z jakiemi trudnościami związany jest zawód agenta? Pan może sądzi, że ja mogę się dostać do wszystkich sfer towarzyskich? Zupełnie pan się myli. Absolutnie nie mogę grać roli naprzykład wielkoświatowego dandysa — zaraz poznaliby mnie.

Uśmiechnął się bezwiednie mimo swych trosk i niepokoju.

— Pan zaś należy z urodzenia do dobrego towarzystwa i jestem przekonany, że pan umiałby zaprosić damę do walca? — rzekł, żartując.

— Spodziewam się, że umiałbym...

— A ja nie — przerwał mi. Nie czuję się wcale zażenowanym, jeżeli z obowiązku muszę mieć sprawę z jaką wielką damą, w innych jednak warunkach absolutnie nie wiem, jak się zachowywać i co mówić w towarzystwie. Jest to niestety, nasz wspólny niedostatek — wszyscy moi zawodowi koledzy nie są nic warci pod tym względem i dlatego zmuszeni jesteśmy w niektórych warunkach werbować agentów z innych sfer.

Wreszcie zacząłem pojmować, do czego on zmierza, lecz milczałem.

— Zna pan może niejakiego Klaweringa? — zapytał znienacka — mieszka w Hofman-House.

— Nie, zdaje mi się, że nie znam.

— Jest to człowiek bardzo dobrze wychowany. Czy miałby pan co przeciw znajomości z nim?

— Do tej pory nie mogę panu nic powiedzieć, dopóki mi pan nie wyjaśni o co chodzi? — odparłem wymijająco.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozgłośna sztuka.

(Do illustracyi na str. 4).

Do najpopularniejszych dziś autorów dramatycznych i to nietylko w swej ojczyźnie, ale wśród ogółu ludów cywilizowanych, należy bezsprzecznie Rostand, którego utwory „Cyrano de Bergerac“, „Romantyczni“, „Orlątko“ i i. grywano z ogromnem powodzeniem.

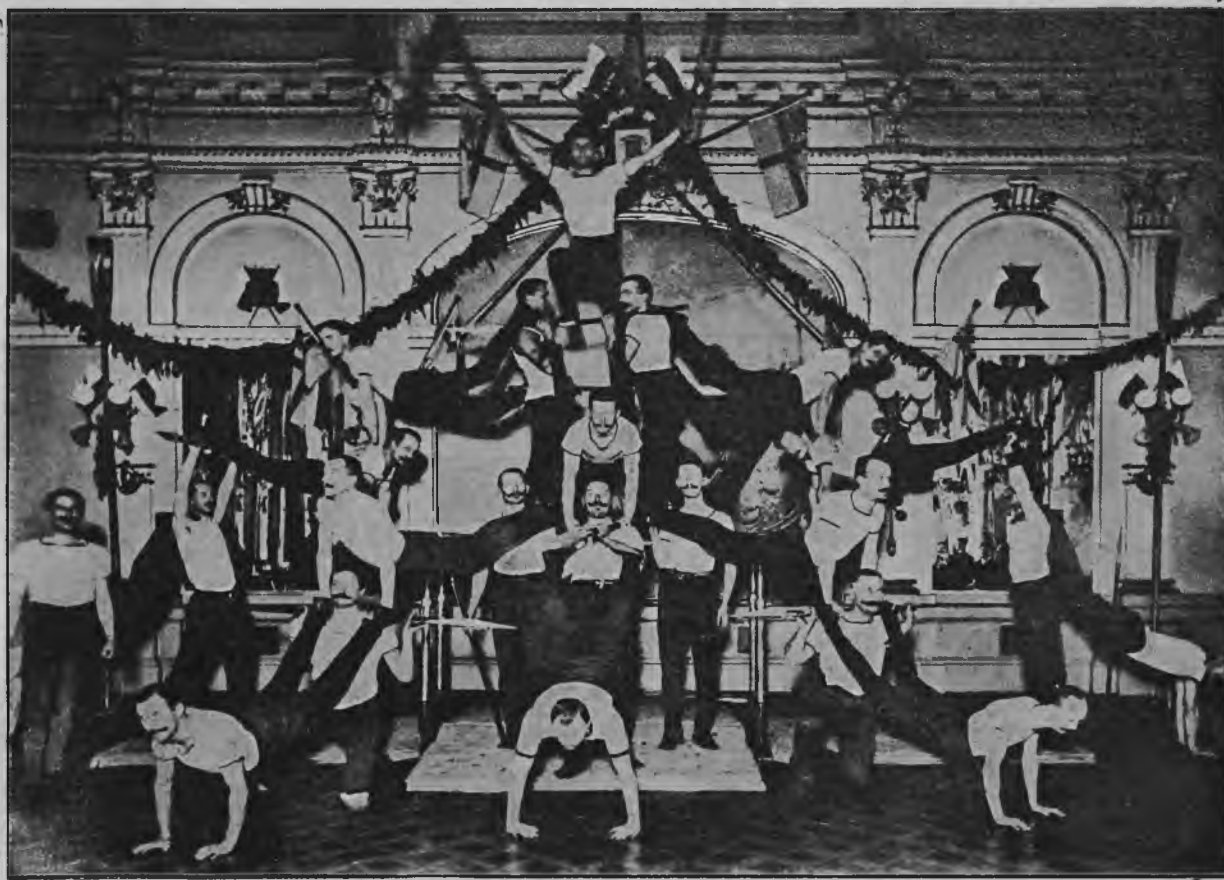
Po dłuższej przerwie, spowodowanej słabością, wystąpił popularny autor z nową, niezmiernie oryginalną sztuką, która w tym tygodniu ujrzała światło kinkietów i zdobyła odrazu olbrzymie powodzenie, odpowiadające zresztą najzupełniej reklamie.

Sztuka ta nosi tytuł „Chantecler“, t. j. „Czystośpiewacz“, a bohaterem jej jest kogut. Wogóle akcya rozgrywa się między zwierzętami, ludzi zaś w niej zupełnie nie ma. Wedle wiadomości, nadeszłych z Paryża po pierwszem przedstawieniu „Chanteclera“, najnowsza sztuka Rostanda jest owocem wielkiego talentu i mimo ekscentryczności swej robi wielkie wrażenie. Podobały się zwłaszcza ustępy liryczne i subtelnie ironizujące, a dalej „hymn do nocy“, gwarzenie kosa i scena miłosna między kogutem i bażantką, przedewszystkiem zaś pieśń słowika.

Niesłychanie trudne zadanie mieli aktorzy. Skrępowani dziwnymi kostyumami, nie pozwalającymi na podkreślenie roli ruchami, musieli skupić całą siłę talentu na głos i intonacyę, a że w teatrach francuskich zważa się niesłychanie na całość, potrafili głosy swe wzajemnie tak sharmonizować, że robią wrażenie muzyki.

Przygotowania do sztuki trwały bardzo długo i miały moment tragiczny. Mianowicie tytułową rolę powierzył autor głośnemu francuskiemu artyście dramatycznemu, Coquelinowi. Coquelin rozpoczął pracę nad tą rolą, przygotowując się do niej bardzo sumiennie, gdy śmierć go zaskoczyła. Opóźniło to wystawienie „Chanteclera“, trudno było bowiem o godnego następcę dla tej roli. Objął ją wreszcie Guitry. Partnerką jego, jako przedstawicielka bażantki, jest madame Simone, bardzo utalentowana artystka.

Jak już wspomnieliśmy, sztuka osiągnęła sukces nadzwyczajny. Publiczność zgromadzona tłumnie na placu przed teatrem, urządziła autorowi olbrzymią owacyę. Rostanda uznano poetą narodowym.



Z życia wioślarzy warszawskich: Piramida dwupiętrowa na popisie gimnastycznym wioślarzy.



Ze sportu narciarskiego: Skok 38-metrowy mistrza w jeździe na nartach Capito w zawodach w St. Moritz.

Z życia wioślarzy warszawskich.

Wśród szeregu hucznych zabaw i redut karnawału warszawskiego na uwagę zasługuje doroczna zabawa sportowo taneczna, odbyta d. 1 b. m. u wioślarzy. Całość zabawy miała miły, swojski i niezwykle sympatyczny charakter.

Na program tej zabawy złożyły się: śpiew „Dudy“ pod dobrą batutą Hochmana, a dalej ćwiczenia popisowe gimnastyków-wioślarzy. Cwiczenia te stanowiły bezsprzecznie jeden z najbardziej atrakcyjnych punktów programu, a wykazały, że wioślarze nie zapominają nawet w czasie karnawału o ćwiczeniach fizycznych, pod umiejętnem kierownictwem Z. Nebla. Do popisu stanęło 33 wioślarzy z setki stale ćwiczących. Licznie zebrana publiczność gorąco oklaskiwała ćwiczenia wolne, będące niejako przygotowa-



Z życia wioślarzy warszawskich: Edmund Nebel, naczelnik K-ła gimnastycznego W. T. W.

niem do krakowskich ćwiczeń zlotowych, dalej ćwiczenia na poręczach, ćwiczenia z laseczkami i oszczepami. Na zakończenie popisu wioślarze przedstawili piękną piramidę, którą przedstawia umieszczona w numerze fotografia. Należy dodać, że wioślarze prowadzą wzorowo swe koło gimnastyczne, poddając ćwiczących skrupulatnym badaniom lekarskim, dokonywanym na członkach przez dra F. Bociańskiego.

Po ćwiczeniach rozpoczęto tańce w 200 par, które — jak to zwykle u wioślarzy bywa — prowadzono do białego dnia.

Kronika tygodniowa.

(Post i śledź. — Zmniejszenie się liczby małżeństw i jego przyczyny. — Proces Bazesa a Borowskiej. — Kometa i jej figle. — Astrologiczne wnioski. — Stykowie wyjeżdżają. — Roda-Roda w Krakowie. — W tej sprawie słów kilkoro. — Rozwód Krakowa z Galicyą a dalsze rozszerzenie miasta. — Stosunki parlamentarne. — O kontyngencie rekruta — Borowska wolna).

Skoro niniejsze pisanie znajdzie się w ręku P. T. Czytelników, będzie już dawno po karnawale, a miejsce pączków zajmie tradycyjny śledź, w którego znak wchodzi nasze społeczeństwo każdorocznie poczawszy od środy popielcowej. Karnawał obecny, tak krótki, a jednak tak obfity w sensacye, minął już bezpowrotnie, nastał czas wielkopostnych rozmyślań i również łez dla tych dziewic, którym i tego roku nie udało się przykuć jakiegoś osobnika do małżeńskiego rydwanu. Statystycznie stwierdzono, że w bieżącym roku liczba zawartych małżeństw ogromnie zmalała, nawet w ostatki, to jest w czasie gwałtownego wyładowania uczuć miłosnych, zanotowano zaledwie trzecią część corocznej ilości błogosławienia związków dwojga serc.

Co wpłynęło na to obniżenie popytu na giełdzie małżeńskiej, orzec stanowczo trudno, w każdym razie przypisać to należy krótkości karnawału, ogólnej biedzie i rozpolitykowaniu się, zajęciu się procesem Borowskiej i obawie przed końcem świata, zapowiedzianym aż przez dwie komety. Karnawału już niema, bieda i rozpolitykowanie zostało. Co do procesu Borowskiej, to zapomnieliśmy o nim, życie domowe weszło w zwykłe stadyum, a nawet mało interesuje się opinia publiczna okolicznością, czy prokurator wniósł sprzeciw i zażalenie nieważności, czy też nie. Mieliśmy wprawdzie zaraz po rozprawie Borowskiej drugi interesujący proces, mianowicie Bazesa o zatajenie spadku i fałszywą przysięgę manifestacyjną, nie potrafił on jednak wzbudzić takiego zajęcia, jak poprzedni. Sala rozpraw sądu karnego, która przed tygodniem wrzała takiem życiem, dziś przedstawia zupełnie inny obraz. W audytoryum pustki, galerya nie obsadzona wcale, tu i owdzie widać tylko jakiegoś ciekawego słuchacza, który śledzi uważnie cały przecieg rozprawy, aby się nauczyć, jak można, będąc milionerem, udawać przeciętnego śmiertelnika, walczącego w pocie czoła o kawałek codziennego chleba. Płeć piękna nie dopisała, brakło bowiem drastycznych momentów, a gdy nadto rodzina odstąpiła od postępowania karnego, sprawa stała się tuzinkową, jakich setki przesuwają się corocznie przez każdą salę rozpraw sądowych.

Najgorzej jednak wyszliśmy na komecie, która poprostu zadrwiła sobie z nas w najpaskudniejszy sposób. Od dwu tygodni chodzę za nią i z różnych stron miasta szukam na niebie jej ogona, jakoś mi się jednak nie udaje, ani rusz nie mogę jej dojrzeć. Spoglądałem na nią z obserwatoryum Frassa, Kuczmierczyka i Gralewskiego, każdym razem bezskutecznie. Zwrócił mi jednak uwagę jeden z naszych astronomów, który w wolnych od zajęcia chwilach bawi się i astrologią, że kometa „1910 a“ jest złym znakiem dla Austryi, zwiastuje bowiem zwycięstwo Czechów, co musiałoby Niemców wprowadzić w bardzo złe usposobienie, a wiadomo przecież, że oni trzęsą naszą szerszą ojczyzną. Na podobny wniosek naprowadził owego pana rozdwojony ogon komety, jak to mogli się przekonać P. T. Czytelnicy z illustracyi, zamieszczonej w poprzednim numerze *Nowości.* Ponieważ zaś i narodowy lew czeski ma ogon rozdwojony, znak to niezawodny, że koniec sporów czesko-niemieckich już się zbliża, a rozwiązanie nastąpi na korzyść naszych pobratymców. I dlatego to zapewne kometa kryje się tak dyskretnie za chmurami, czeka bowiem na sposobną chwilę, aby ugodzić znienacka w najsłabsze miejsce.

A już cieszyli się Niemcy, że będą górą, zwłaszcza, gdy dowiedzieli się, iż dzięki zabiegom stańczyków panoramy w barbakanie nie będzie. Stykowie, widząc ciągłe trudności i nie mogąc się doczekać ostatecznego załatwienia sprawy, zapakowali swe pędzle i palety i wybierają się do Paryża, gdzie w Salonie mają zamiar wystawić swą pracę. Niech jeszcze poszczęści się konserwatystom i uda się utrącić w jakiś sposób sprawę pomnika Jagiełłowego, a będzie wszystko w porządku. Na czas samego obchodu postaramy się o mały tyfusik lub obawę zawleczenia cholery z Chin, co skłoni wysoki rząd do zakazania tłumnego zjazdu. Wszechniemcy mogą być spokojni, nie zadraśniemy bodaj paznogciem ich uczuć narodowych.

Jak zaś delikatnymi jesteśmy wobec Niemców, mieliśmy się sposobność przekonać z sympatycznego przyjęcia, jakie zgotowano w Krakowie współpracownikowi monachijskiego *Simplicissimusa* p. Roda-Roda, który wybrał się w podróż po Austryi, aby nieść kaganiec humorystycznej niemieckiej kultury. Ostatnim jego etapem na Wschodzie był Kraków. Jest to wprawdzie wrogo względem Prusaków usposobione pismo, napada jednak w tak bezczelny sposób na wszystko, co trąci choćby katolicyzmem i słowiańskością, iż właściwie żaden uczciwy Polak nie powinien go wziąć do rąk. Spodziewaćby się należało, że podobnego świstka nie znajdziesz w żadnym porządnym lokalu, tymczasem każdy z kawiarnianych gości we wtorek dopytuje się troskliwie, czy jest *Simplicissimus.* Jeśli zwrócisz takiemu panu uwagę, że powinien bojkotować pismo, tak wrogo usposobione względem Słowian, odpowie ci, że je czyta dlatego, ponieważ tam besztają Wilusia, właściciel lokalu tłómaczy się zaś, że musi abonować takie pisma, jakich goście żądają. Kto więc winien?... My sami!

Czytając wielkie, czarno-żółte, naturalnie niemieckie ogłoszenia, byłem pewny, że prócz oficerów nikt więcej nie pokaże się na sali, jakże jednak nieprzyjemnie byłem zdziwiony, gdym się dowiedział, że stary teatr wypełniony był po brzegi, a między cywilną publicznością przeważały wschodnie typy, które rzekomo przyznają się do polskości. Prelegenta przyjmowano z entuzyazmem, oklaskiwano gorąco różne odgrzewane wice, a on śmiał się podobno w kułak i mówił do siebie: *Ah! Diese dummen Polaken!...* A możeby tak zaprosić pana Roda Roda na obchód grunwaldzki? Przyczyniłoby się to ogromnie do podniesienia nastroju i zyskałoby naturalnie aprobatę sfer miarodajnych.

W czasie, gdy obchód grunwaldzki ma się odbyć, będziemy już może odrębnym krajem koronnym, rozwiedzionym z morganatycznego związku z Galicyą, gdyż tak żądają Rusini, a z nimi się przecież każdy tak liczy. Ogólno austryacka reprezentacya Rusinów, której przewodniczył wnuk Fredry, a obecnie ex-Polak, ks. metropolita Szeptycki, oświadczyła się za oddzieleniem Krakowa i utworzeniem zeń osobnego kraju, co mogłoby dla nas być tylko korzystnem. Mielibyśmy własny sejm, własnego namiestnika, własny zakład dla obłąkanych w Kobierzynie, słowem rozdział od stołu i łoża z Galicyą miałby dla nas dodatnie skutki i przyczyniłby się do podniesienia powagi miasta, które byłoby wówczas prawdziwą stolicą. Urządzenie obchodu grunwaldzkiego na własnych śmieciach i o własnych siłach a nie pod protektoratem Lwowa, wypadłoby wówczas wspaniale!

Z zadowoleniem wewnętrznem skonstatować należy tak że ciągłe rozszerzanie się Wielkiego Krakowa i to tem intenzywniejsze, im bardziej zbliżamy się do wiosny i do lata. Obecnie zaanektowano za wolą i zgodą Wysokiego Sejmu królestwa Galicyi i Lodomeryi Ludwinów i Dąbie, i jeśli tak dalej pójdzie w tym samym stosunku, z czasem dojdziemy na północ do granicy, na południe do Karpat i znów gotowy zatarg dyplomatyczny, gdyż przemocą wedrzemy się w granice Galicyi, na co nie zgodzą się Rusini, nazywający już dziś Galicyę: Zachodnią Ukrainą.

Rzecz prosta, że po oddzieleniu Krakowa od Galicyi, namiestnikiem lwowskim będzie wówczas któryś z ruskich polityków, marszałek krajowy, różni prezydenci i wiceprezydenci będą także wywodzić ród swój z nad Dniepru, Bank parcelacyjny obejmie naturalnie spółka ruskich kapitalistów, aby przy jego pomocy wytransportować resztkę Lachów za San. To samo stanie się i z bankiem przemysłowym, który zamiast szukać oparcia na kapitałach dolnoaustryackich instytucyi finansowych zwróci, się raczej w stronę Berlina, gdzie na tak szlachetny cel nie poskąpią mu z pewnością poparcia. Rozwiążą się też ręce różnym politykom, którzy również zajmują się sprawami finansowemi, będą teraz mogli intenzywniej oddać się pracy zawodowej, wolni od kłopotów finansowych i prędzej może, niż się spodziewamy, demokratyczne marynarki zamienią na lojalniej usposobione ministeryalne fraki. Mam tu na myśli głównie pana Stapińskiego, który już zapowiedział agitacyjną pielgrzymkę po Czechach na rzecz Unii słowiańskiej. Wartoby jednak, aby pan Stapiński zatrzymał się po drodze na Śląsku austryackim i tam przypatrzył się objawom braterskiej miłości, jaką Czesi darzą Polaków. Sprawozdanie z takiej podróży byłoby bardzo zajmującem dla każdego z Polaków, dla Czechów jednak i ich fanatycznych zwolenników może niezbyt miłem, przekonanoby się bowiem dowodnie, że gorszymi szowinistami są nasi stryjeczni bracia, niż nawet Niemcy, o których wiemy, iż trzeba mieć się przed nimi na baczności.

Skutkiem nieporozumień czesko-niemieckich nad Wełtawą jest ciągłe kulenie austryackiego parlamentu, gdyż domowe sprawy krajów korony św. Wacława przenosi się przed forum Izby posłów. Zachłanność Niemców czeskich pod wodzą ministra Schreinera, który dawno już powinien był pójść w odstawkę, paraliżuje wszystkie dobre chęci zdrowiej myślących jednostek i jest przyczyną, że mimo zaostrzonego regulaminu obrad, austryacki parlament, będzie zawsze wieżą Babel, przy budowie której nie mogli się absolutnie robotnicy ze sobą porozumieć.

Sesya parlamentu ma się rozpocząć 22. lutego, a zająć się ma wielu, bardzo żywotnemi sprawami, obchodzącemi całe państwo. Na czele ich stoi sprawa budżetu i kontyngentu rekruta, który z powodu coraz bardziej zmniejszającej się liczby małżeństw, zaczyna budzić poważne obawy. Podobno istnieje projekt utworzenia mieszanej komisyi cywilno-wojskowej (z odpowiednim naturalnie udziałem płci pięknej), która ma się zastanowić nad obmyśleniem środków zaradczych. Płci pięknej absolutnie pomijać w tym wypadku nie można, dużo bowiem i od niej zależy, gdzie zaś idzie o konieczności państwowe, sądzę, że pójdą one ręka w rękę z ciemiężącymi ich wedle babskiej opinii, mężczyznami.

Wkońcu zaznaczyć należy tryumf, jaki odniosły sufrażystki... Borowska została uwolnioną, prokurator, przelękły się niewiast, cofnął zażalenie nieważności. Rozlega się też okrzyk wesoły: „Zwycięstwo!“ i „Hańba mężczyznom! którzy chcieli potępić niewinną niewiastę!... Gdyby ława przysięgłych składała się z czułych kobiet, a nie z lodowatem sercu mężczyzn, byłoby inaczej“! Nic też dziwnego, że udał się i kabaret urządzony przez p. Bujwidową w ostatni wtorek w sali Strzeleckiej, wktórym wziął udział cały generalny sztab krakowskich feministek.

X.

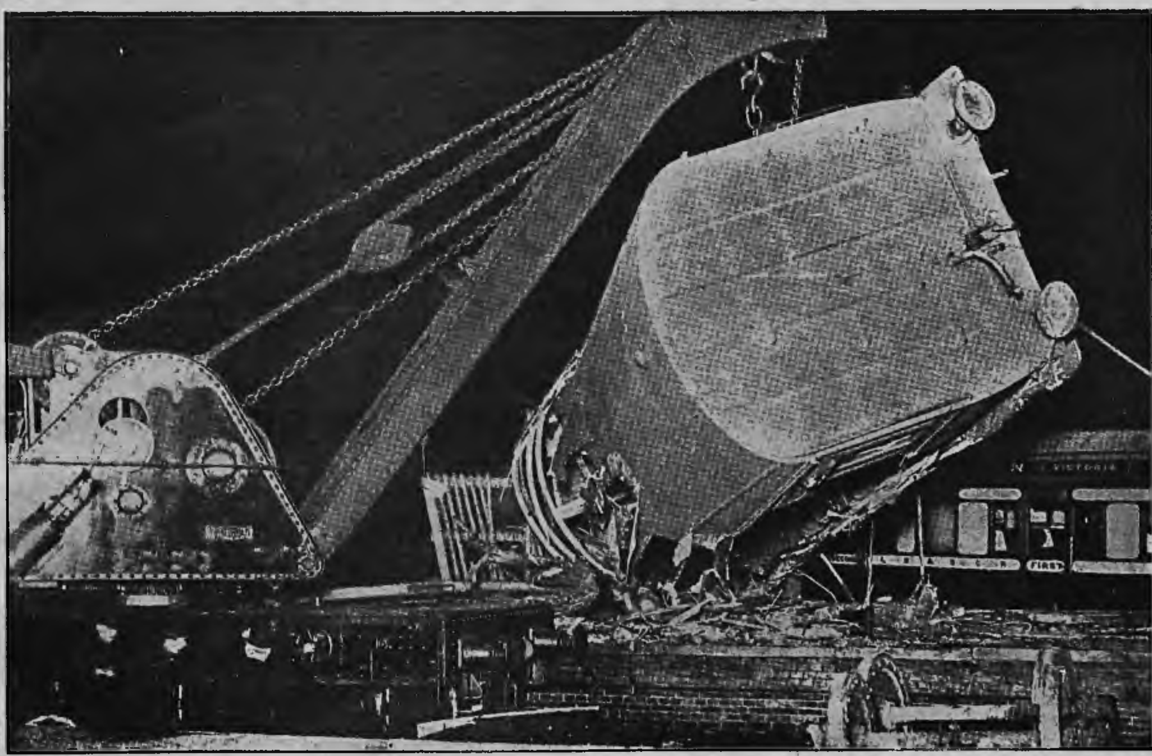
Przedstawienia trupy włościańskiej w Warszawie.

O znaczeniu dla kultury ludu wiejskiego amatorskich teatrów włościańskich, nikogo myślącego dziś przekonywać nie potrzeba. Słowo żywe, uplastycznione, daleko lepiej przemawia do wyobraźni, niż najlepsza nieraz książka.

W Galicyi rzecz ta została już przesądzona, samo istnienie z górą 130 amatorskich teatrów włościańskich najlepiej świadczy, że zdrowe ziarno zostało rzucone na dobrze przygotowaną i urodzajną glebę. Galicya dała dobry przykład, a za przykładem Galicyi poszło i Królestwo.

W dniu 2 b. m. Warszawa po raz pierwszy widziała na scenie prawdziwych włościan, którzy w teatrze letnim odegrali 3 aktową sztukę Fr. Domnika p. t. „Ojcowizna“. Była to trupa włościańska ze wsi Zawady gubernii siedleckiej. Zrozumienie poszczególnych ról przez włościan-amatorów było zdumiewające, a główna zasługa przypada tu Julii Malinowskiej, niestrudzonej pracowniczce na tem polu i Maryanowi Kotowskiemu, kierownikowi warszawskiego Towarzystwa Dramatycznego, który zajął się reżyseryą „Ojcowizny“.

Widownia teatru była nabita publicznością, która tak wykonawców poszczególnych ról jak i organizatorkę i kierowniczkę trupy i p. Kotowskiego przyjmowała z prawdziwym entuzyazmem.



Katastrofa kolejowa pod Londynem: Usuwanie zdruzgotanych wozów przy pomocy olbrzymiej dźwigni.

Następstwem tych stosunków narodowościowych są częste zmiany na stanowisku bana, trudno bowiem o męża, któryby umiał dogodzić rządowi, a równocześnie nie naraził się ludności kraju. To też i obecny ban, Paweł bar. Rauch, ustępuje ze swego stanowiska po dwu zaledwie latach rządów. A i tak rządy te trwały stosunkowo dość długo, zwłaszcza że pierwsze dni pobytu bar. Raucha w Zagrzebiu w charakterze bana, zapowiadały mu ustąpienie bardzo rychłe. Wiadomo bowiem, że ludność chorwacka zaprotestowała bardzo energicznie przeciw nominacyi bar. Raucha i po przybyciu jego do Zagrzebia urządziła gwałtowną demonstracyę. Zwolna jednak zdołał nowy ban złagodzić przykrą dla siebie sytuacyę i stosunki ułożyły się względnie pomyślnie.

Nie trwało to jednak długo. A kiedy obecnie powołany do steru rządów na Węgrzech prezydent ministrów Khuen Hedervary, postanowił ująć sobie Chorwatów, ofiarą musiał paść bar. Rauch, dymisya jego bowiem mogła być najmilszym podarkiem dla ludności chorwackiej. Dano więc banowi Rauchowi do poznania, iż jest zbytecznym, stanowisko jego bowiem przeznaczono komu innemu.

Baron Rauch podał się do dymisyi, którą oczywiście przyjęto. Istotnie też ludność Chorwacyi szczerze się ucieszyła wiadomością, iż niesympatyczny i nielubiany ban ustępuje w najbliższym czasie.

Następcą jego zostanie dr. Tomasic, były minister Chorwacyi.

Zgon znakomitej śpiewaczki.

W ubiegłym tygodniu zmarła w Warszawie jedna z najwybitniejszych niegdyś polskich śpiewaczek operowych, śp. Bronisława Dowiakowska. Warszawianka z rodu i tam wychowana, tam też spędziła prawie cały długi okres swej świetnej karyery artystycznej, służąc swym przepięknym głosem i wielkim talentem operze polskiej.

Już jako młodziutkie dziewczę, zwróciła ś. p. Dowiakowska uwagę na siebie zarówno muzykalnością nadzwyczajną, jak pięknym głosem. Studya wykształciły przyrodzony materyał, a już pierwsze występy na koncertach i w operze w r. 1858 uwieńczyło ogromne powodzenie. Została też wnet zaangażowaną na stałe do opery, której służyła następnie przez 36 lat.



Zgon znakomitej śpiewaczki: Śp. Bronisława Dowiakowska.

Repertuar tej śpiewaczki był ogromny i bardzo rozmaity, a każda nowa kreacya przynosiła jej jednozgodne uznanie krytyki, tak że Dowiakowska wnet stała się ulubienicą warszawskiej publiczności. Skala jej głosu była niebywale obszerna i sięgała od dolnego *A.* aż do trzykrotnie kreślonego *E.* Miała głos silny, technikę wyrobioną, świetną koloraturę i wymowę. Śpiewała z górą 100 oper, z których najwybitniejsze miejsce zajmowały Moniuszkowskie opery: „Halka" i „Hrabina".

Ze sceną rozstała się ś. p. Dowiakowska 1895 roku, żegnana uroczyście i owacyjnie. W ostatnich latach zapadała coraz częściej na zdrowiu, aż śmierć przecięła pasmo dni jej pełnego sławy życia.

Dymisya bana Chorwacyi.

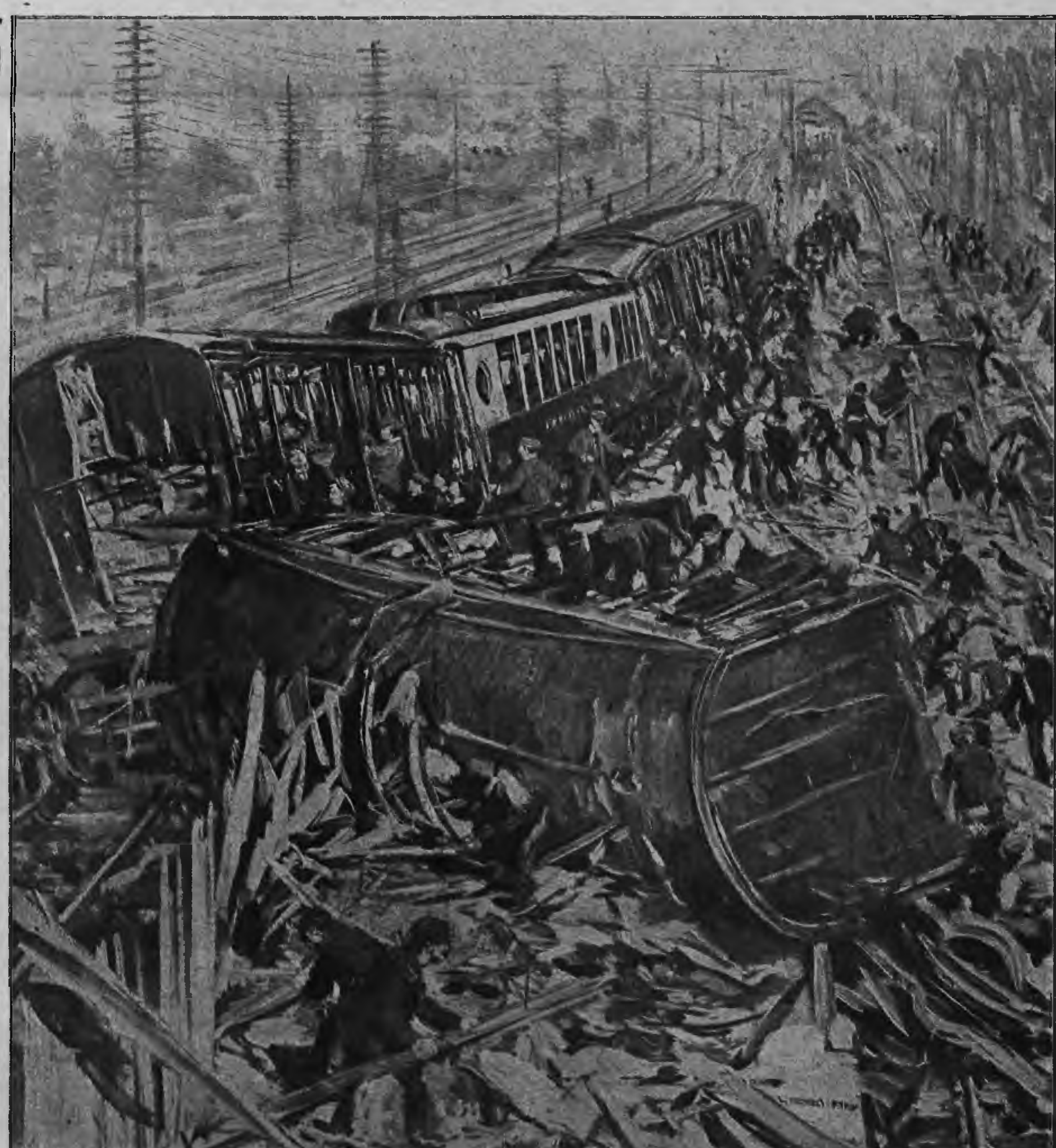
(Do illustracyi na str. 3)

Stosunki w Chorwacyi nie od dziś stanowią bolączkę Węgier. Dzielni Chorwaci bowiem opierają się wszystkiemi siłami madziaryzacyi, którą popierają usilnie sfery rządowe węgierskie. To, co się dzieje w tym kraju, przypomina pod wielu względami stosunki poznańskie, gdzie z podobną zaciekłością butni Prusacy usiłują zgermanizować ludność polską.

Nowe placówki oświaty.

(Do illustracyi na str. 3 i 4)

Macierzyste Koło Towarzystwa Szkoły ludowej w Krakowie należy do najliczniejszych i najruchliwszych kół i ma za sobą wiele zasług w pracy oświatowej. Koło to wybudowało okazały budynek dla 4 klasowej szkoły w Leszczynach pod Białą i utrzymuje kursy analfabetów cywilnych i wojskowych w szkole wydziałowej im. św. Floryana na Kleparzu.



Katastrofa kolejowa pod Londynem: Wydobywanie rannych z rozbitych wozów.

W ubiegłym roku założyło Koło szkołę i ochronkę w Witkowicach na Morawach, gdzie kilkanaście tysięcy ludzi pracuje w hutach żelaza i kopalniach, podobnie jak i w sąsiedniej miejscowości w Maryańskich Górach, gdzie otworzono szkołę i ochronkę dla dziatwy około 8 tysięcznej ludności polskiej, pracującej w tamtejszych kopalniach i fabrykach. Nie poprzestając na tem, otworzyło Koło trzecią w ubiegłym roku szkołę w Radwanicach na Śląsku, tuż koło Moraw. Dołączone ryciny przedstawiają dziatwę tych szkół wraz z jej wychowawcami.



Olbrzymie sprzeniewierzenie w Warszawie: „Artelszczyk“ Iwan Kozakow.

Olbrzymie wydatki, połączone z założeniem i utrzymaniem szkół i ochronek pokrywa Koło przedewszystkiem ze składek groszowych, wrzucanych do skarbonki Koła, obnoszonej po tutejszych lokalach przez znanego kwestarza, weterana z r. 1863. Jeśli się zważy, że prócz tej akcyi na kresach, Koło I. swą oświatową działalność rozszerza na okolice Krakowa i na kolonie polskie w Bośni i że ta praca pochłania znaczne zasoby pieniężne, przekraczające kilkakrotnie dotychczasowe dochody Koła, dojść się musi do przekonania, że działalność ta zasługuje na wydatniejsze poparcie.

Tylko ten naród nie zginie, w którym wszyscy jak jeden mąż łączą się razem w narodowej pracy.

Ćwierćwiekowy jubileusz kolei iwangrodzko-dąbrowskiej.

Przed tygodniem obchodzili pracownicy kolei iwangrodzko-dąbrowskiej 25-letni jubileusz istnienia tej kolei, która powstanie swe i rozwój zawdzięcza prywatnej inicyatywie kapitalistów polskich w dobie, kiedy społeczeństwo polskie wzięło się do pracy pozytywnej młotem i kielnią.

W owym to czasie w dniu 10 stycznia r. 1885 została urzędownie otwartą jedna z najpoważniejszych linii kolejowych Królestwa Polskiego, a mianowicie dąbrowska. Grono ziemian, bankierów i przemysłowców, z margrabią Zygmuntem Wielopolskim na czele, otrzymawszy koncesyę na budowę tej kolei, złożyło odpowiedni kapitał i przystąpiło do założenia „Towarzystwa kolei iwangrodzko dąbrowskiej“. Jeden z warunków koncesyi głosił, że projektowana kolej ma być wybudowaną w ciągu $3^1/_2$ lat. Kapitał wyznaczony ustawą na roboty i wszelkie wydatki Towarzystwa wynosił 27 milionów rubli.

Na czele robót stanął jako dyrektor i kierownik techniczny, znany konstruktor i specyalista, inżynier kolejowy, Hipolit Cieszkowski, a sfinansowanie całego planu, którego koszta znacznie przewyższały kapitał, jakim rozporządzali pierwsi akcyonaryusze, powierzono znanemu finansiście Janowi Blochowi.

Roboty, rozpoczęte koło budowy tej linii kolejowej, przedstawiały się nader poważnie, ze względu na to, że projektowany plant kolejowy, poprzecinany był licznemi rzekami i w znacznej części przechodził przez teren górzysty. Przez Wisłę przerzucono pod Dęblinem piękny most systemu kratowego, a koło stacyi Miechów pod wyniosłem wzgórzem na gruntach wsi Piaskowca wybudowano jedyny w całem Królestwie Polskiem tunel o długości 2457 stóp angielskich. Nowością były i dworce



Olbrzymie sprzeniewierzenie w Warszawie: Rachmistrz Henryk Lesiakiewicz, wspólnik Kozakowa



Ćwierćwiekowy jubileusz kolei iwangrodzko-dąbrowskiej: Uczestnicy bankietu w salach Resursy obywatelskiej w Radomiu.

kolejowe, piętrowe i zbudowane z cegły, zamiast dotychczas używanych drewnianych, niewygodnych, szczupłych, a przedewszystkiem trudnych do ogrzania zimą.

Wybudowanie tej kolei umożliwiło nie tylko połączenie komunikacyjne dla tej części kraju, która dotychczas była tak, jakby odciętą od świata, ale przedewszystkiem podniosło ruch handlowy i wpłynęło na potworzenie się nowych centr przemysłowych.

Gdy przed tygodniem po upływie 25 lat zgromadzili się w Radomiu dawni pracownicy kolei dąbrowskiej, wielu z tych, którzy byli przy otwarciu tej linii, brakło pomiędzy nimi, a tym, co jeszcze pozostali, szron pokrył już włosy a lata pracy wycisnęły na twarzach swe piętno.

Uroczystość jubileuszowa odznaczała się niezwykle podniosłym i serdecznym nastrojem. Modlono się wspólnie podczas nabożeństwa na intencyę licznych jubilatów, ucztowano w salonach Resursy obywatelskiej, gdzie przybywających witał komitet jubileuszowy, wygłoszono liczne toasty i za inicyatywą inżyniera Klepackiego złożono kwotę 150 rb. na wpisy dla niezamożnych uczniów szkoły handlowej w Radomiu, który za lat pięć będzie znów gościł w murach swoich jubilatów obecnych, przybyłych na obchód 30 lecia pracy.

Zdjęcie, które podajemy, odtwarza chwilę przed ucztą jubileuszową w gmachu Resursy obywatelskiej w Radomiu.



Przedstawienie trupy włościańskiej w Warszawie: Włościanie, biorący udział w przedstawieniu „Ojcowizny“ z Pp. Z. Malinowską i M. Kotowskim w pośrodku.

Olbrzymie sprzeniewierzenie w Warszawie.

Życie nad stan, zamiłowanie hucznych, wesołych zabaw, popchnęło już niejednego młodego człowieka na śliskie tory występku i niejedno młode życie złamało. Najmniejsze, najdrobniejsze zapomnienie się i naruszenie choćby drobnej sumy z cudzych pieniędzy, jest zwykle fatalnym początkiem, który ułatwia i zachęca do dalszych w tym względzie kroków. Historye to zwykłe dziś i częste.

Jedna z nich rozegrała się właśnie w Warszawie, w kasie zarządu kolei Nadwiślańskich. Bohaterem sprzeniewierzenia są: „artelszczyk“ Iwan Kozakow i rachmistrz kasy głównej Lesiakiewicz, a wysokość sprzeniewierzonej kwoty przenosi 50.000 rubli.

Operacye zacnej spółki były bardzo rozmaite. Jedna z nich polegała na wydawaniu urzędnikom kolejowym zaliczek na płacę, za wynagrodzeniem, dochodzącem niejednokrotnie 60%. Po za tem nie gardzono innymi sposobami, w czem Kozakowowi pomagał „sumiennie“ Lesiakiewicz, który prowadził rachunkowość tak, aby księgi zgadzały się ze stanem kasy.

Dobrze więc było obu młodym panom. Lesiakiewicz zwłaszcza bawił się wesoło po najrozmaitszych kabaretach i kawiarniach warszawskich, hojnie rozrzucając pieniądze między damy półświatka, hojnie obdarzając służbę napiwkami.

Sytuacya jednak ukształtowała się w ostatnich dniach w ten sposób, iż szkontrum, zapowiedziane już w kasie, musiało wykryć malwersacye. I wówczas, gdy do kasy wpłynęło 50 000 rubli na wypłaty dla urzędników, Kozakow i Lesiakiewicz, zagrabiwszy całą tę sumę, ulotnili się zgrabnie. W kasie pozostawił Kozakow całą masę kwitów różnych urzędników na pobrane zaliczki, oraz kwotę 780 rubli, której — jak opowiadają — zabrać nie mógł, mając wszystkie kieszenie wypchane pieniądzmi.

Najważniejszym i wysoce w tej sprawie charakterystycznym szczegółem jest fakt, że o malwersacyach Kozakowa wiedzieli niemal wszyscy, ale siedząc u niego w kieszeni, patrzyli na to przez palce. Tak n. p. kasyer główny wiedział już na parę dni przed ucieczką Kozakowa o braku 4.000 rubli w kasie, mimo to pozostawił ją w dalszym ciągu w ręku defraudanta.

O ucieczce Kozakowa i Lesiakiewicza zawiadomiono wydział śledczy, który rozesłał za nimi listy gończe.

Z półek księgarskich.

Nowe wydawnictwa Macierzy Polskiej. Trzy książeczki wydała Macierz w ostatnich czasach. Grunwaldowi poświęcone jest dziełko Franciszka Jaworskiego p. t. **„Władysław Jagiełło jako opiekun miasteczka.** Są to niezwykle interesujące wspomnienia z przeszłości Gródka Jagiellońskiego, pokazujące nam pogromcę Krzyżaków w roli mało znanej, jako dobrego gospodarza i miłościwego opiekuna polskiego mieszczaństwa i ludu. —

Do służby Ojczyźnie wzywa poeta — włościanin Ferdynand Kuraś w zbiorze wierszy p. t. **„Wiązanka z chłopskiej niwy.“** Zbiór ten to dokument, źródło pierwszorzędne do poznania duszy ludu polskiego, jego myśli i uczuć. Tyle tam wiary w przyszłość, taka pewność zwycięstwa, że otucha nawet w piersi wątpiącego musi wstąpić — gdy wiązankę z uwagą przeczyta. —

Książeczka trzecia (**„Księgi gruntowe“**) ma znaczenie praktyczne. Autor, Józef Wilusz, radca wyższego sądu krajowego, poucza w niej przystępnie, czem są księgi gruntowe, jak wielkie jest ich znaczenie, jak pilnie więc należy dbać o nie, jak i kiedy należy je prostować. Broszurka ta może oddać naszemu włościaństwu niepomierne usługi (Cena pierwszej książeczki 40 hal, drugiej 40, trzeciej 20 hal).

Intermedya ucieszne napisał Bolesławicz. Biblioteka teatrów włościańskich 7. Lwów 1910. Nakładem Związku teatrów i chorow włościańskich. Cena 1 Kor. Pod powyższym tytułem ukazało się jako 7 tomik Biblioteki teatrów włościan. — sześć krótkich utworów scenicznych, wzorowanych na intermedyach XVI i XVII wieku. Wydawnictwo to, nadające się nietylko dla teatrów włościan. — lecz również amatorskich miejskich, nabywać można w Związku teatrów i chórów włościańskich we Lwowie (ul. Ossolińskich l. 9.)

Głosy publiczne.

Z teatru kinematograficznego, mieszczącego się w budynku cyrkowym, komunikują nam: Punktem kulminacyjnym programu od piątku dnia 11. bm. do czwartku dnia 18 bm. będzie obraz, przedstawiający wiernie podług natury: „Wylew Sekwany i katastrofę powodzi w Paryżu“. Setki domów pod wodą. Rozpacz mieszkańców. Dowóz żywności na łodziach. Akcya ratunkowa w obecności prezydenta Falieresa. — Rabowanie opuszczonych domów przez apaszów. — Reszta programu składa się przeważnie ze zdjęć humorystycznych. —

W **„Chromofotoskopie“** przy ul. Floryańskiej l. 4. (parter) jest wystawiona bardzo aktualna serya, zdjętych z natury interesujących i pięknych widoków z Japonii, przedstawiających kulturę życie i zwyczaje żółtej rasy, miasto Tokio i wiele innych bardzo ciekawych widoków.

Przed oczami widza przesuną się bardzo ciekawe widoki, które tamtejszą kulturę, zwyczaje i życie wiernie odwzorowują.

Równocześnie w **„Stereoglobie“** przy ul. Szewskiej l. 15 wystawione są widoki największego miasta na świecie Londynu. Londyn jest największem rojowiskiem ludzi na świecie. Obszar Londynu wynosi 1800 kilometrów kwadratowych; blisko 7 milionów mieszkańców, zamieszkuje 500 tysięcy olbrzymich domów.

Długość ulic Londynu wynosi blisko 2 tysiące mil.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. L. Roth Lwów: Tylko w rodzaju męskim. Nazwiska rodowe wykluczone.

WP. H. M. Stanisławów: Do pana F. G. prosimy zwrócić się wprost. Kraków, Redakcya „Głosu Narodu“.

WP. K. Skirmunt, Szemetowszczyzna! Rzeczywiście zaszła pomyłka, sami jednak Czytelnicy wpadli na nią, jak to wskazuje siedmdziesiąt kilka trafnych rozwiązań.

WP. A. Jędrusikowa, Binarowa: Profesor Pilz lub Domański, Dr Ryde lub Dr. Kupczyk. Ten ostatni posiada własne sanatoryum. Wystarczy adres: Kraków.

WP. S. Zehnwirthówna, Szalowa: O ile prenumerata zapłacona do końca marca, ma pani prawo wzięcia udziału w losowaniu.

WP. W. K. Sędziszów: Dobre.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 5.

Arytmograf.

S e g a n t i n i
L u b o n i e
R e w e l
Ł o ś
ś
B a c o n
Z a c i s z e
S ę d z i o w i e
N a d d o l i n a m i
D e m o r a l i z a c y a
M a z e p a H u g o M n i c h
T e o d o r A k s e n t o w i c z
S t e p C h a t a z a w s i ą
I n t e r p r e t a c y a
C z ę s t o c h o w a
C z e t w e r y k
R a p a c k i
V e n u s
H e n r y k S i e n k i e w i c z

Kwadrat magiczny.

H a m l e t
K a n a d a
I l j a d a
L o j o l a
i d y o t a
c h e m i a

Logogryf.

W
N o w e l l a
C y d
M a s s e n a
P a l e r m o
O n a
W i l h e l m
M a h o m e t
U f a
f

Logogryf imienny.

E r n e s t
D a m a z y
W i k t o r
A n t o n i
R o b e r t
D a n i e l

Zagadka: Rumak.

Zadanie do przestawienia: Sztuką Niemca tłuką.

Łamigłówka zgłoskowa: Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei, lecz przed narodem niosą oświaty kaganiec.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, J. Zabieszewski Kraków, W. Ossowski Warszawa, A. Biliński Tarnopol, M. Planecka Kraków, F Gebhardt Kraków, S. Kowalówka Łososina, K Kaim Radziszów, M. Krupińska Warszawa, K. Fuchs Czeremchów, A. Kiełczykowski Gl nnik Maryampolski, M. Zabierzewska Kraków, S. Faliszewski Baligród. H. A Krupecki Warszawa, M. Malinowska Oświęcim, M. Turecka Maksymówka, A. Bocsoń Bóbrka, E. Bogdalska Kor p ź, Z. de Boulangé Gawłówek, C. Kozłowski Warszawa, B. Rubin Hłuboczek Wielki, M. Sabatowicz Kraków, Koło T. Ś. L. Millie. H. Chodkiewicz Warszawa, M. Serbeńska Budzanów, M. Germanówna Lwów, W. Kucharski Lublin, J. Baranicz Kałusz, T. Nikiel Zakopane, J. Łomiński Rzeszów, M. Gryziecka Przemyśl, S. Grochalski Krosno, S. Karczmarski Kraków, S. Krzyżanowski Kraków, J. Trepta Kraków, H. M ciejowska Warszawa, S. Bukowski Kraków, Z. Górecka Krosno, M Og bińska Strzyżów, K. Flis Kraków, M. Piękoś Brody. W. Gliwa Kraków, W. Kowalski Sandomierz, K Radzimiński Sokal, B. Liskowacki Sanok, W. Ostrowski Sandomi rz, K. Lindenbaum Czer iowce, J. Engelberg Rzeszów, M. Wang Rzeszów, J. Nowacki Przemyśl, L. Mrozicki Zakopane, J. Bier Wadowice, M. Latoszyńska Kraków, S. Kaczkowski Podgórze, M. Cholewicz Kraków, M. Zasadzka Lwów, K. Linowski Kraków, J. Arzt Warszawa, J. Gincel Krosno, J. Czarkowski Uhnów, K. Lemiszewska Kołomyja, Z. Czekański Olszanica, S. Karwowski Kraków, L Kamocki Rzeszów, M Zatorska Nowy Sącz, M. Świrski Sandomierz. M. Silberstein Wadowice, J. Kretowicz Rohatyn, W. Aleksandrowicz Krosno, J. Pick Warszawa, J. Schmidt Stanisławów, W. Rabinowicz Krosno, R. Szymański Łódź. A. Balicki Kraków, J. Lema ski Warszawa, W. Zachara Łódź, J. Jahoda Cieszyn. M. Straszewska Warszawa, S. Rosenbaum Rzeszów, L. Wąsowicz Lwów, Z. Oszacki Zakopane.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **K. Radzimiński Sokal.** Upraszamy o nadesła ie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Nadesłane.

Z handlu i przemysłu.

Przed dwoma miesiącami **we Lwowie** (Pasaż Mikolaschów), gdzie odczuwa się wielki brak doborowych artykułów w zakres handlu żelaznego wchodzących, pp. **Weyde i Pietrzycki** założyli handel towarów żelaznych i przyborów technicznych.

Młodzi kupcy obrali sobie za hasło: „10% taniej jak wszędzie", przyczem całą swoją wiedzę fachową skierowali w kierunku dostarczania kupującym jak najlepszego towaru, za który biorą na siebie wszelką odpowiedzialność. Tak więc w ich handlu nabywać można towary dobre i solidnie wykończone, z najlepszych i największych fabryk, a co najważniejsze po cenach niższych jak w innych handlach.



E. PIETRZYCKI.

Że do firmy tej można odnosić się z zupełnem zaufaniem, to rękojmię dają już same osoby obu właścicieli.

Pan **E. Pietrzycki**, syn śp. Edwarda, b. dyrektora buchalteryi w magistracie m. Lwowa, jest znany w szerokich kołach jako uczciwy kupiec, dobry i bogobojny obywatel miasta. Toteż nie ulega kwestyi, że starać się będzie, aby uczciwą i rzetelną pracą zaskarbić firmie zupełne zaufanie u kupującej publiczności.

Pan **R. Weyde** przedstawia typ rzutkiego i energicznego kupca i przemysłowca w całem słowa tego znaczeniu. W Galicyi wprost niema drugiego, tak młodego fachowca w branży żelaznej, któryby dorównał jemu fachowemi wiadomościami.



R. WEYDE.

Niewątpliwie p. Weyde, wykształcony w kierunku ślusarstwa i mechaniki na sposób zagraniczny, jak n. p. w Anglii, potrafi zadowolnić kupujących pod każdym względem, a przy swej wrodzonej energii dopnie celu, by firma była chlubą całego kraju.

Lokal firmy **Weyde i Pietrzycki** znajduje się **we Lwowie, w pasażu Mikolascha** i jest w tak krótkim już czasie żywo odwiedzany przez kupujących. A to powinno być bodźcem dla obu właścicieli, by nadal skutecznie pracowali nad rozwojem żelaznego przemysłu w naszym kraju.

MAURYCY LEBLANC.

WYDRĄŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

22 (Ciąg dalszy).

— Pochodzą one ze średnich wieków, rzekł, oświetlenie jednak jest nowoczesne. Panowie ci używają dobrych lamp.

Ruszył dalej. Tunel kończył się nową, lecz mniejszą grotą, z przeciwnej strony której zaczynały się inne schody, wiodące pod górę.

— Obecnie będziemy wstępowali na Igłę — zauważył Ganimard — sprawa staje się poważniejszą.

W chwili tej odwołał go jeden z podwładnych.

— Panie naczelniku, tam na lewo są również schody.

Jednocześnie znaleźli i trzecie schody na prawo.

— Do licha — szepnął inspektor — sprawa komplikuje się. Jeżeli pójdziemy tędy, uciekną tamtędy.

— Podzielmy się — zaproponował Beautrelet.

— Nie... nie... to osłabiłoby nas. Najlepiej byłoby, jeżeliby jeden z nas udał się na wywiad.

— Ja, o ile pan się zgodzi...

— Pan? dobrze. Ja pozostanę ze swymi ludźmi... teraz niema czego się obawiać. Bardzo możliwe, że są jeszcze inne drogi oprócz tej, którą myśmy szli, a zapewne przechodzi ich kilka i przez Igłę. Między jednak brzegiem morskim a Igłą niema z pewnością innej komunikacyi, jak tylko ten tunel. Nie mogą więc ominąć tej groty. Zatrzymam się tu aż do pańskiego powrotu. Ale, panie Beautrelet, przedewszystkiem roztropność... przy najmniejszym szmerze padać na ziemię.

Izydor znikł szybko na środkowych schodach. Przy trzydziestym stopniu zatrzymały go nowe, ale tym razem już zupełnie zwykłe, drewniane drzwi. Schwycił za klamkę i nacisnął. Drzwi nie były zamknięte. Wszedł do sali, która z powodu swej wielkości, wydała mu się bardzo niską. Oświetlona dużemi latarniami, podparta grubymi słupami, między którymi otwierały się długie perspektywy, musiała być tych samych rozmiarów, co i Igła. Zapełniały ją całe masy pak, różnych mebli, foteli, kufrów, szaf, jakie można widzieć nieraz w piwnicach u przekupniów starożytności. Na prawo i na lewo Beautrelet dostrzegł dwa otwory schodów, bez wątpienia tych samych, które zaczynały się w dolnej grocie. Mógł więc zejść i zawiadomić o tem Ganimarda, wprost jednak niego wznosiły się jakieś nowe schody, na które wstąpił, ulegając swej ciekawości.

Jeszcze trzydzieści stopni. Drzwi i znowu sala, lecz już mniejsza. I na wprost nowe schody. Jeszcze trzydzieści stopni. Drzwi. I sala jeszcze mniejsza...

Beautrelet domyślił się teraz planu robót, wykonanych we wnętrzu Igły. Była to cała serya sal jedna nad drugą i przez to coraz mniejszych. Wszystkie służyły na magazyny. W czwartej nie było już lampy, przez szczeczeliny przenikało światło dzienne i Beautrelet dojrzał morze na dwanaście metrów w dole.

W chwili tej poczuł się tak oddalonym od Ganimarda, iż zaczął opanowywać go jakiś smutek i niepokój; musiał skupić całą swą wolę, by nie uciec stąd. Żadne jednak niebezpieczeństwo nie groziło mu i dokoła panowała taka cisza, iż przyszło mu nawet na myśl, czy przypadkiem Lupin wraz z swymi wspólnikami nie opuścił już zupełnie Igły.

— Zatrzymam się na wyższem piętrze — pomyślał.

Ciągle trzydzieści stopni, potem drzwi lekkie, świeżej roboty. Popchnął je, gotów do ucieczki. Niema nikogo. Sala ta jednak różniła się swem przeznaczeniem od poprzedniej. Na ścianach gobeliny, na podłodze dywany. Naprzeciw siebie stały dwa wspaniałe kredensy, pełne sreber i kryształów. W wąskich oknach, wykonanych w szczelinach, były szyby. Po środku sali znajdował się stół, bogato zastawiony, ubrany świeżymi kwiatami, z cukrami, butelkami szampana i kieliszkami. Na stole trzy nakrycia.

Beautrelet zbliżył się. Na serwetach leżały karty wizytowe, z nazwiskami zaproszonych gości.

Naprzód przeczytał: Arseniusz Lupin. Wprost: Arseniuszowa Lupin. Wziął trzecią kartę i zadrżał ze zdumienia. Na tej widniał napis: Izydor Beautrelet!

X.

Skarb królów Francyi.

Rozsunęła się portyera.

— Jak się masz, drogi Izydorze. Spóźnił się pan trochę. Śniadanie naznaczono punkt na dwunastą. Kilka jednak minut... Lecz co się stało? Pan nie poznaje mnie? Czyżbym tak się zmienił!

Przez cały przeciąg walk przeciw Lupinowi, Beautrelet doznał już nie jednej niespodzianki i obecnie, w chwili rozwiązania całej sprawy, przygotowany był na różne przejścia, takiego jednak zwrotu nie oczekiwał ani jednej chwili. Nie było to zdziwienie, lecz osłupienie, przerażenie.

Człowiek, którego miał przed sobą, którego rozgrywające się obecnie wypadki kazały mu uważać za Arseniusza Lupina, człowiekiem tym był Valmeras. Valmeras! Właściciel zamku Iglastego. Valmeras! ten sam, u którego szukał pomocy przeciw Arseniuszowi Lupin. Valmeras! jego towarzysz wycieczki do Crozant. Valmeras! Ten dzielny pomocnik, który umożliwił oswobodzenie jego ojca i panny Saint-Veran przez rzucenie się i ubezwładnienie w ciemnościach westibulu wspólnika Lupina!

— Pan... pan... Więc to pan! — jąkał się.

— Dlaczegóżby nie! — zawołał Lupin. — Czyż sądził pan, że zna mnie już zupełnie, ponieważ widział mnie pan raz w przebraniu duchownego anglikańskiego i Massibana? Niestety! gdy się wybrało takie stanowisko społeczne, jakie ja zajmuję, trzeba korzystać z talentów, którymi natura nas obdarzyła. Jeżeliby Lupin nie mógł być dowoli to duchownym anglikańskim, to członkiem Akademii, nie mógłby być sobą. Lupin, prawdziwy Lupin stoi teraz przed panem. Niech pan mu się dobrze przyjrzy.

— Lecz w takim razie... jeżeli to pan... to... panna...

— Ależ tak, Izydorze, jak mówisz...

Rozsunął znowu portyerę, dał znak i oznajmił:

— Pani Arseniuszowa Lupin.

— Ach! — zawołał młody uczeń zmieszany bezwiednie — panna de Saint-Veran!

— Nie, nie, — zaprzeczył Lupin — pani Arseniuszowa Lupin, a raczej jak pan woli, pani Ludwikowa Valmeras, moja ślubna małżonka wedle wszelkich praw. I dzięki przytem panu, drogi Izydorze.

Wyciągnął do niego rękę.

— Najserdeczniejsze me podziękowania..., które może przyjmie pan bez urazy.

I rzecz dziwna, lecz Beautrelet nie miał żadnej urazy, nie doznał żadnego uczucia poniżenia. Tak bardzo odczuwał niezmierną wyższość nad sobą swego przeciwnika, iż nawet nie zarumienił się wobec tej nowej swej porażki. Uścisnął podaną sobie rękę.

W chwili tej ukazał się służący i postawił na stole srebrną tacę z różnemi potrawami.

— Pan nam wybaczy, lecz kucharz nasz jest na urlopie i musimy zadowolić się zimnemi potrawami.

Beautrelet nie miał najmniejszej ochoty do jedzenia. Usiadł mimoto, przejęty całkowicie patrzeniem na Lupina. Co on wiedział w istocie? Czy zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie mu groziło? Czy wiedział o obecności Ganimarda i jego ludzi?

Lupin mówił dalej:

— Tak, dzięki panu, drogi przyjacielu. Ja z Elżbietą rzeczywiście kochaliśmy się od pierwszej chwili. Tak tak, mój mały... Porwanie Elżbiety, jej więzienie, wszystko to blaga: myśmy się kochali... Lecz ona, jak również i ja ani na moment jeden nie dopuściliśmy myśli, by miłość nasza mogła być przejściowa, by związek nasz zależny był ciągle od wypadków. Położenie więc było bez wyjścia dla Lupina. Na szczęście nie tak się ono przedstawiło, gdym postanowił stać się na nowo Ludwikiem Valmeras, jakim byłem od urodzenia. Myśl ta przyszła mi wówczas, gdy pan nie zaniechał tej sprawy i odnalazł Iglasty zamek; skorzystałem tylko z pańskiego uporu.

— I z mej głupoty.

— Cóż znowu! wszyscy by w to uwierzyli.

— A więc pod moją opieką i z moją pomocą udało się to panu.

— Jakże mogło być inaczej! Jakże można było przypuszczać, że Valmeras jest Lupinem, kiedy Valmeras jest przyjacielem Beautreleta i pomógł sam odebrać Lupinowi tę, którą Lupin kochał? Było to coś wspaniałego. Co za piękne wspomnienia! Wycieczka do Crozant, zmieszane bukiety! mój list miłosny do Elżbiety! a potem te ostrożności, jakie ja, Valmeras, musiałem przedsiębrać przed ślubem przeciw Lupinowi. I wieczór ten, podczas sławnego bankietu, wydanego na pańską cześć, gdy pan osunął się zemdlony na me ręce! Piękne wspomnienia!...

Nastało milczenie. Beautrelet obserwował Elżbietę. Słuchała Lupina, nie odzywając się ani słowem i patrzyła na niego wzrokiem, w którym malowała się miłość, namiętność i jeszcze coś, czego młody uczeń nie umiał określić, jakieś zakłopotanie, zmieszane ze smutkiem.

Lupin zwrócił swe oczy na nią i uśmiechnęła się czule do niego. Uścisnęli się za ręce ponad stołem.

— Co powiesz, Izydorze, o mem urządzeniu? zapytał Lupin... Prawda, sympatycznie tu? Nie twierdzę, by był to największy wykwint... Mimo to zadawalali się tem ludzie nie powszedni... Popatrz na listę osób, które były właścicielami Igły i które raczyły zostawić ślady swej tu obecności.

Na ścianach były wyryte następujące imiona:

Cezar, Karol, Roll, Wilhelm Zdobywca, Ryszard, król Anglii, Ludwik XI, Franciszek, Henryk IV, Ludwik XIV, Arseniusz Lupin.

— Kto teraz się tu podpisze? — mówił dalej.— Niestety! lista zamknięta. Od Cezara do Lupina... i to wszystko. Wkrótce zjawiać się tu będą tłumy, by zwiedzać tajemniczą cytadelę. I pomyśleć tylko, że bez Lupina pozostałoby to wszystko na zawsze nieznanem! Ach! Izydorze, jakiej dumy doznałem, gdym po raz pierwszy tu wstąpił! Odnaleść utraconą tajemnicę, stać się jej posiadaczem! Dziedzic takiego spadku! Po tylu królach zamieszkiwać samemu Igłę!...

Przerwała mu żona ruchem ręki. Wydawała się bardzo niespokojną.

— Hałas — rzekła... — hałas pod nami... słyszą panowie...

— To plusk wody — odparł Lupin.

— Nie, nie... Znam szmer fal... to coś innego...

— Co chcesz, moja droga, by to było — rzekł Lupin z uśmiechem. — Tylko Beautreleta jednego zaprosiłem na śniadanie.

A zwracając się do służącego, zapytał:

— Charolais, czyś zamknął za panem drzwi na schodach?

— Tak, założyłem klapy bezpieczeństwa.

Lupin podniósł się:

— Uspokój się, Elżbieto, nie drżyj tak... Ach! jakaś ty blada!

Rzekł po cichu kilka słów do niej, jak również i do służącego, podniósł portyerę i dał im znak, by wyszli.

Z dołu dochodził coraz głośniejszy hałas. Były to silne uderzenia, powtarzające się w jednakowych odstępach czasu. Beautrelet domyślał się:

— Ganimard stracił cierpliwość, wyłamuje drzwi.

Lupin najzupełniej spokojny, jakgdyby rzeczywiście nic nie słyszał, powrócił do swego opowiadania:

— Gdy wreszcie udało mi się odkryć Igłę, była ona bardzo nadwyrężona. Jak już pan wie, nikt nie znał tej tajemnicy przez cały wiek, od Ludwika XVI do naszych czasów. Tunel groził zawaleniem się. Schody zapadały się. Woda przeciekała do środka. Musiałem wszystkie oczyścić, wzmocnić, odnowić.

Beautrelet nie mógł powstrzymać się od zapytania:

— Czy była ona pusta, gdy pan tu przybył?

— Prawie. Królowie nie mogli tak jak ja założyć w Igle swych magazynów...

— Mogli jednak używać ich za schronisko.

— Tak, bez wątpienia, w czasie napadów, jak również i wojen domowych. Istotnem jednak jej przeznaczeniem było... jakby to powiedzieć? zastępowała ona królom Francyi nasze kasy ogniotrwałe.

Uderzenia ponawiały się i stawały się coraz głośniejsze. Ganimard musiał już wyważyć pierwsze drzwi i zabierał się do drugich. Milczenie, potem nowe uderzenia jeszcze bliższe. Były to już trzecie drzwi. Pozostawało jeszcze dwoje drzwi.

Przez jedno z okien Beautrelet ujrzał całą flotyllę barek, opasujących Igłę, a dalej torpedowiec, podobny do wielkiej czarnej ryby.

— Co za hałas! — odezwał się Lupin — trudno mówić. Chodźmy wyżej. Może pan chce zwiedzić Igłę?

Weszli na wyższe piętro, przechodząc przez drzwi, które Lupin zamknął za sobą.

— Moja galerya obrazów — rzekł.

Ściany pokryte były płótnami, w których Beautrelet rozpoznał zaraz arcydzieła najpierwszych mistrzów. Była tu św. Dziewica Rafaela; Portret Lukrecyi Andrzeja del Sarto; Salome Tycyana; Dziewica i aniołowie Botticellego; Tintorety, Carpaccie, Rembradty, Velasqueze...

— Piękne kopie, potwierdził Beautrelet...

Lupin spojrzał na niego zdziwiony.

— Co? kopie! czyś pan zwaryował? kopie znajdują się w Madrycie, mój drogi, we Florencyi, Wenecyi, Monachium, Amsterdamie.

— A to?

— Płótna oryginalne, zbierane cierpliwie we wszystkich muzeach europejskich, gdzie je pozastępowałem doskonałemi kopiami.

— Lecz prędzej czy później...

— Prędzej czy później oszustwo wyjdzie na wierzch? Znajdą na każdem płótnie z tyłu mój podpis i będzie wiadomo wtedy, że to ja obdarzyłem swą ojczyznę oryginalnemi arcydziełami. Zresztą nie uczyniłem nic innego, jak tylko to samo. co i Napoleon we Włoszech... Popatrzno, Beautrelet, oto cztery Rubensy pana de Gesvres...

Uderzenia nie ustawały wewnątrz Igły.

— To już nie do zniesienia! — rzekł Lupin — Chodźmy jeszcze wyżej.

Nowe schody i nowe drzwi.

— Sala gobelinów, oznajmił Lupin.

Nie były one porozwieszane, lecz zwinięte, obwiązane, poznaczone i zmieszane z innemi pakami starożytnych materyi, które Lupin rozkładał, pokazując wspaniałe brokaty, cudowne aksamity, miękkie jedwabie w najrozmaitszych deseniach, przetykane złotem i srebrem...

Wstępowali jeszcze wyżej i Beautrelet ujrzał salę zegarową, bibliotekę z najcenniejszymi i najrzadszymi unikatami, salę koronkową, salę z drobiazgami z pałaców królewskich i magnackich.

Za każdym razem obszar nowej sali był mniejszy.

I za każdym razem odgłos uderzeń słabł. Ganimard błąkał się.

— Ostatnia sala — rzekł Lupin — jest skarbcem.

Była ona zupełnie odmienna od poprzednich. Również okrągła, lecz bardzo wysoka, formy stożkowatej, mieściła się w samym szczycie Igły.

Od strony lądu nie było ani jednej szczeliny. Lecz od morza, skąd nie mógł dosięgnąć żaden ciekawy wzrok, znajdowały się dwa okna z szybami, przed które dochodziła cała masa światła. Podłoga wyłożona była rzadkiem drzewem. Przy ścianach znajdowały się witryny i wisiało kilka obrazów.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył R. Węglorz, Orłowa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, by pierwszy rząd nowo utworzonych wyrazów podał sprawę, którą interesowała się niedawno cała prawie Europa.

□ — — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Afryce południowej. 2. Inaczej bunt. 3. Miasto w Galicyi 4. Inaczej oświata. 5. Prorok żydowski. 6. Planeta. 7. Miejscowość w Galicyi, słynna z kopalni nafty. 8. Rzeka w Afryce południowej. 9. Miasto w Rosyi. 10 Tłusty płyn. 11. Zdrobniałe imię męskie. 12. Rzeka we Francyi. 13. Inaczej umowa 14. Miasto na Syberyi. 15. Kraj w Ameryce południowej. 16. Rzeka w Azyi.

Zgłoskówka.

Ułożyła Hala K. Lublin.

Z podanych zgłosek utworzyć znany czterowiersz Adama Asnyka:

A, ba, cie, dłych, gać, gło, ić, iść, lau, liść, mi, no, nie, na, po, po, przód, rem, rów, się, stro, trze, u, u, we, wy, wię, wę, z, z, ży, ży.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Dzierża, Warszawa.

Z podanych zgłosek utworzyć znane polskie przysłowie: Warszawa, ul, siew, pion, kosz, ił, lilia.

Zagadka.

Ułożył H. A. Krupecki, Warszawa.

Wprost z cegieł zrobiony
Nieraz bardzo duży,
Wspak trunek, marynarze
Piją go w podróży

Trójkąt magiczny.

Ułożył R. Węglorz, Orłowa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy i pionowy poda nam imię i nazwisko włoskiego malarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Mieszkaniec jednej z części świata. 3. Miasto w Ameryce północnej. 4. Miasto w Rosyi. 5. Inaczej wychodźca. 6. Zwierzę drapieżne. 7. Miasto w Galicyi. 8. Imię męskie. 9. Część ciała. 10. Przyjaciel Mickiewicza. 11. Rodzaj gliny. 12. Samogłoska.

Arytmograf.

Ułożył Sz. Hocherman, Olkusz.

Kwadraty i cyfry zastąpić literami, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Środkowy rząd, czytany z góry na dół, da imię i nazwisko słynnego kaznodziei i pisarza polskiego z XVI. w.

□
13 □ 19
6 2 □ 26 24
16 5 □ 14 5
8 5 21 □ 6 11 4
5 22 26 25 □ 19 25 16 24
9 24 □ 11 2
19 26 1 □ 4 24 16
16 24 □ 23 5
14 24 □ 7 26
19 6 □ 9 5

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2 Drzewo szpilkowe. 3. Metal szlachetny. 4. Członek rodziny. 5 Dziennik krakowski. 6 Góra we Włoszech. 7. Ptak. 8. Przedmieście Krakowa. 9. Miara powierzchni ziemi. 10. Ptak domowy. 11. Sprzęt domowy.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Dzierża, Warszawa.

Z podanych głosek utworzyć znane polskie przysłowie: Biba, byk, nie, rura, ryza.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Józefa Weyssenhoffa:* **Za błękitami.** Z illustracyami K. Górskiego.

Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za Redakcyę odpowiedzialny: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie